

WARSZAWA  
L I P I E C  
— 1934 r. —  
Nr. 13 — 14  
— Rok X —

# Czasopismo



## Kierownictwo a wykonawstwo

Aczkolwiek kierownictwo polega z natury rzeczy na zarządzaniu sprawami, których wykonanie powierzane jest podwładnym, to jednak zupełne uniknięcie czynności wykonawczych jest dla kierownika niemożliwe. W szeregu bowiem wypadków wymagać będzie tego od niego nie tylko waga czy skomplikowanie pewnych spraw, ale również potrzeba poznania szeregu przejawów służbowych u samego ich źródła, w drodze bezpośredniego przepracowania danych wydarzeń.

Skoro więc praca kierownika, obok czynności zarządczych, musi obejmować i pewne czynności wykonawcze, to zagadnienie kierownictwa, rozpatrywane w tej płaszczyźnie, sprowadza się do rozważenia, w jakim stosunku wobec siebie powinny te dwa rodzaje czynności pozostawać.

Nie ulega wątpliwości, że w pracy kierownika winny przeważać czynności zarządcze. Nawet na niższych stanowiskach kierowniczych, gdzie z natury rzeczy kierownik musi szereg czynności wykonawczych sprawować osobiście. Tembardziej zaś ta przewaga czynności zarządczych nad wykonawczymi musi się przejawiać na wyższych stanowiskach kierowniczych, wzrastając stopniowo w miarę stanowiska coraz wyższego.

Przytoczymy w tym celu kilka praktycznych przykładów.

Zarządzona zostaje obława. Wyznaczony w związku z tem kierownik obławy opracowuje odpowiedni plan działania, rozбивa przydzielone mu siły na oddziały, rozdziela między nie role stosownie do obmyślonego planu działania i wysyła w teren. Następnie udaje się na umówiony punkt, dokąd mają być sprowadzeni wszyscy zatrzymani. Jak dotąd, prowadzący obławę działa wyłącznie kierowniczo. Sytuacja jednak radykalnie się zmienia z chwilą przybycia wszystkich oddziałów, kierujących się koncentrycznie z zatrzymanymi do umówionego punktu zbornego. W tym momencie

prowadzący obławę przerzuca się raptownie od czynności kierowniczych do wykonawczych. Nawet nie zleciwszy zastępstwa komuś z podwładnych, zaczyna sam legitymować wszystkich zatrzymanych, badając skrupulatnie ich dowody, szczegółowo wypytywać i ostatecznie kwalifikując do zwolnienia, czy też dalszego zatrzymania. W rezultacie obława pozostaje bez kierownictwa. Nominalny bowiem jej kierownik, zasklepiwszy się w badaniu zatrzymanych, zaabsorbował całą swą uwagę tą czynnością wykonawczą, zapartywszy się bez reszty w jeden fragment obławy — nie może, rzecz prosta, ogarniać całości. Skutki tego nie dają na siebie długo czekać. Pozbawieni kierownictwa funkcjonariusze zaczynają się grupować w sposób całkowicie dowolny: który z nich uważa, że miejsce jego jest przy grupie kilkuset zatrzymanych, ten ich pilnuje, który uważa, że i bez niego koledzy upilnują zatrzymanych, ten odchodzi sobie na bok. Legitymowanie przez jednego człowieka w osobie kierownika obławy, zamiast grupami przez kilku ludzi — zupełnie niepotrzebnie przedłuża się. Siły, zaangażowane do obławy, potrzebne w takiej ilości do ogarnięcia wyznaczonego terenu i koncentrycznego zepchnięcia osób podejrzanych do wyznaczonego punktu zbornego — obecnie, gdy pozostało tylko pilnowanie zatrzymanych, przesortowanie ich i odwiezienie do urzędu, są grubo za duże. W rezultacie przeważna część funkcjonariuszów, biorąca udział w obławie, trzymana jest na punkcie zbornym zupełnie niepotrzebnie, bez żadnego

zatrudnienia. A tymczasem zatrudnienie jest dla nich. W następnym bowiem rzucie ma być przeprowadzona druga część obławy, na innym odcinku. Należałoby więc, pozostawiając minimalną ilość funkcjonariuszów do pilnowania zatrzymanych w pierwszej części obławy, użyć tymczasem przeważającej reszty do przeprowadzenia drugiej obławy. Niestety, niema nikogo, kto by odpowiednio po temu zarządzenie mógł wydać. Powołany bowiem do tego kierownik obławy, zamiast powierzyć legitymowanie kilku swoim podwładnym, zastrzegłszy sobie decyzję tylko w wypadkach wątpliwych, sam przepatruje dowody, sam indaga, sam decyduje o każdym z kilkuset zatrzymanych.

Funkcjonariusz zostaje delegowany na rewizję. Ponieważ mieszkanie, które ma być przeszukane, jest wielokopijowe, przeto otrzymuje do pomocy trzech funkcjonariuszów. Przed przystąpieniem do rewizji kierownik akcji poleca jednemu z przydzielonych mu pomocników obsadzić kuchenne wejście, sam zaś z pozostałymi dwoma udaje się do mieszkania przez drzwi frontowe. Na tem przezornem rozdzieleniu rozporządzalnych sił kończy swą rolę kierowniczą. Z chwilą wejścia do mieszkania, nie troszcząc się o dalsze rozdzielenie czynności między przydzielonych mu pomocników, zabiera się osobiście do szczegółowego obszukania całego mieszkania. Jest on bowiem wyznawcą przekonania, że powierzone mu zadanie może być dobrze spełnione tylko wtedy, jeśli on je sam wykona od początku do końca. Typowy wykonawca, nie posiadający ani odrobiny zmysłu kierowniczego. To też zapominając zupełnie, że przyszedł tu jako *kierownik* rewizji, oddając się wyłącznie *wykonaniu* rewizji. W rezultacie zatracą z własnej winy możliwość ogarniania wzrokiem całości. Wskutek tego funkcjonariusz, postawiony przy drzwiach kuchennych, tkwi tam bezczynnie, podczas gdy po zamknięciu drzwi na klucz mógłby być użyty do właściwych czynności rewizyjnych. Drugi, pozostawiony bez żadnych dyspozycji, z własnej inicjatywy bierze się do przeszukiwania, jednak wskutek braku nadzoru nie czyni tego w sposób na tyle umiejętny, niżby to być mogło, gdyby był przez swego zwierzchnika odpowiednio korygowany. Wreszcie trzeci, również pozostawiony samemu sobie, stoi bezczynnie, patrząc obojętnie na to, jak domownicy kręcą się po wszystkich pokojach, dzięki czemu mogą z powodzeniem przenieść poszukiwane przedmioty z pokoju jeszcze nie obszukanego do pokoju już zrewidowanego. Tego wszystkiego kierownik rewizji nie widzi. I widzieć nie może, skoro zamiast kierować, jedynie od czasu do czasu imając się pewnych ważniejszych czynności wykonawczych, cały swój czas całą uwagę poświęca samemu poszukiwaniu.

Zastępca kierownika urzędu ma obowiązek podpisywania wszystkich zleconych mu papierów mniejszej wagi. Czynność ta nie zajmowałaby mu tak wiele czasu, gdyby nie przerastająca wszelką miarę skrupulat-

ność. Nawet bowiem tak stereotypowe papiery jak zwrotki doręczonych wezwań, czytuje on przed podpisaniem od deski do deski. Powiadają o nim, że każdorazowo odczytuje nawet „skutki niestawienia”, jakie są stereotypowo drukowane na odwrocie każdego wezwania i związanej z niem zwrotki. Zapewne jest to przesada, powiedzenie to doskonale jednak maluje przesadną skrupulatność podpisującego. W rezultacie nie tylko nie ma on czasu na jakieś inne czynności, ale jest ciągle zavalony nawet temi papierami, które mu są zlecane. Prawda, że wskutek tej niezwykłej skrupulatności przy podpisywaniu uwadze jego nie ujdą nawet tak drobne szczegóły, jak doręczenie wezwania w przeddzień terminu stawienia, podczas gdy istniała możliwość doręczenia go na dwa dni przed tym terminem. Zważywszy jednak zużyty na to nakład pracy i czasu, należy dojść do przekonania, że jest on niewspółmiernie duży w porównaniu z osiągniętymi tą drogą skutkami. Wszak ten nadzór nad skrupulatnością załatwiania papierów przez podwładnych można wykonywać również dobrze przez *wyrównane badanie* niektórych papierów w sposób całkowicie skrupulatny, ograniczając się do przejrzania ogólnego przy podpisywaniu reszty papierów.

Kierownik urzędu przykładą dużą uwagę do grafikonów, obrazujących w sposób porównawczo-rysunkowy różne przejawy działalności służbowej. Prawda, że chwilami wpada pod tym względem w pewną przesadę tworząc tych grafikonów zbyt dużo, w dodatku często dla przejawów za mało po temu ważnych. Można by jednak jeszcze przejść nad tem do porządku, gdyby nie to, że wszystkie te grafiki kierownik urzędu sam wykonywa. Własnoręcznie więc kreśli je, podmalowuje, opatruje napisami, podkleja tekturą, a nawet własnoręcznie rozmieszcza i przytwierdza do ścian. Pełni więc czynności, które niepotrzebnie absorbują mu czas i w dodatku nie odpowiadają powadze kierownika urzędu.

Tych kilka przykładów nadmiernego zajęcia się przez kierownika czynnościami wykonawczymi uzmysławia wyraziście dwa główne skutki szkodliwe: osłabienie możliwości panowania nad całością i niepotrzebną stratę czasu na niekorzyść zadań kierowniczych.

Jeśli bowiem kierownik zajmie się nadmiernie czynnościami wykonawczymi, to zostanie tem na tyle pochłonięty, na tyle zasklepi się w szczegółach, że wnet straci możliwość panowania nad całością powierzonych mu spraw kierowniczych. Skutecznie kierować można jedynie z wysokości kierowniczego stanowiska. Z chwilą zejścia z niego, z chwilą opuszczenia się poniżej tego poziomu — horyzont kierownika musi się zmniejszyć, jego kąpatrzenia musi się zmniejszyć.

Podobnie rzecz się ma z kwestją czasu. Skutecznie kierować może jedynie kierownik, który ma dość czasu na analizowanie wypadków, wydarzających się

w powierzonym mu terenie, na obmyślanie odpowiednich do tego środków oddziaływania, na wcielanie tych środków w życie drogą wydawania stosowanych zarządzeń, na nadzorowanie sposobu ich wykonywania przez podwładnych — jednym słowem na całą pracę mózgową związaną z kierownictwem. Z chwilą jednak gdy kierownik zajmie się nadmiernie sprawami wykonawczymi — z tą chwilą musi mu zabraknąć czasu na sprawy zarządcze. W rezultacie będzie zawałony sprawami, nie znajdzie spokojnej chwili,

podczas której mógłby gruntownie przemyśleć poszczególne zagadnienia, będzie decydował o nich pośpiesznie, zmuszony będzie rozwiązanie całego szeregu zagadnień odkładać z dnia na dzień. poza terminy, w których normalnie powinny być rozstrzygnięte, nie będzie w stanie roztoczyć nad biegiem spraw należytego nadzoru.

Wszystko zaś to dziać się będzie ze szkodą dla rozumnie pomyślanego i sprężysto wykonywanego kierownictwa.

JÓZEF KOWALSKI  
komisarz

## Pogadanki o służbie granicznej

### VII.

#### O CELOWOŚCI I UNIKANIU SZABLONU W SŁUŻBIE GRANICZNEJ

W poprzedniej pogadance mówiliśmy o gotowości i czujności w służbie granicznej. Gotowość i czujność muszą być ujęte w system, muszą być celowo wykorzystywane. Uwzględniając nasze siły, oraz posługując się poczynionymi obserwacjami, regulujemy naszą służbę tak, abyśmy mogli sprostać zadaniu racjonalnej ochrony granicy. Nic nie pomogą wysiłki przełożonych w układaniu służby, jeśli służba ta będzie pełniona bezmyślnie, mechanicznie, od godziny do godziny.

Podział służby, oparty na niepewnych obserwacjach, bez uwzględnienia oszczędności sił ludzkich, bez indywidualnego traktowania zdolności i skłonności każdego strażnika, bez znajomości terenu i stosunków lokalnych, pozornie może wydawać się dobrym, a w gruncie rzeczy nietylko jest złym, lecz i szkodliwym dla służby. bo każda bezplanowa akcja może tylko przy nadmiernym wysiłku przynieść jakietakie korzyści, a prawie zawsze ulega planowej przeciw-akcji.

Każdy strażnik graniczny musi zdawać sobie z tego sprawę, że odpowiada on za należyte wykonywanie swych czynności służbowych, że przepisana mu służba ma swój cel, że żadne stanowisko i żadne poruszenie jego na granicy nie jest bezwartościowe, i że lekceważenie przez strażnika nakazanej służby psuje cały plan ochrony odcinka granicznego. Bez sumienności w wykonywaniu służby i bez jej należytego zrozumienia przez każdego poszczególnego strażnika, najlepiej opracowany plan jest bez wartości.

Strażnik, obejmujący służbę, zapoznaje się z rozkazem służby. Kierownik placówki nie jest w stanie każdego ze swych podkomendnych do służby odprawić, każdemu wyjaśnić cel tej służby, nie jest również w stanie przewidzieć wypadki, jakie mogą zajść w służbie strażnika, nie może, więc, na te ewentualności udzielić zgóry instrukcji.

Strażnik sam, z rozkazu służby, musi zrozumieć intencje swego przełożonego, a jeśli będzie miał dobrą wolę, oraz własną inicjatywę, jeśli każdy swój krok postawi w służbie z zastanowieniem się, wtedy cel służby zostanie osiągnięty. Bezmyślne chodzenie po granicy od punktu do punktu jest również służbą, ale jałową, niegodną fachowca, strażnika z ambicją.

Pamiętajmy o tem, że obrawszy sobie zawód strażnika granicznego, obowiązani jesteśmy doskonalić się w swym zawodzie, aby stać się ludźmi pożytecznymi w społeczeństwie, aby nie jeść darmo chleba. Pamiętajmy o tem, że nas, strażników granicznych jest stosunkowo mało, że obronimy granicę tylko sztuką i umiejętnością, a nie ilością posterunków. Pamiętajmy również o tem, że przez nasze lekceważenie służby, lub przez naszą niezaradność, społeczeństwo może ponieść straty, o których my nawet nie będziemy wiedzieli, że powstały z naszej przyczyny. Na granicy nie ma odcinków lub miejsc bez znaczenia, gdyż przemył lub przestępca na każdym miejscu może przejść, a najczęściej tamtędy, gdzie go najmniej spodziewamy się.

Z chwilą, kiedy placówka dochodzi do przekonania, że jej odcinek jest zupełnie spokojny i zaczyna swą służbę wykonywać szablonowo od godziny do godziny, traci ona charakter właściwy, fachowość jej składu osobowego zostaje wypaczoną.

Zachodziły wypadki, że na takiej placówce przez szereg lat nie było żadnych wyników, ale, kiedy został zmieniony jej skład personalny, rozpoczęły się wyniki jeden po drugim. Było to dowodem, że poprzedni skład pełnił służbę na wydeptanych ścieżkach, powtarzając ciągle w kółko te same rozkłady służby, a przemytnicy tak dobrze je poznali, że śmiało i bezkarnie za plecami strażników dokonywali systematycznego przemytnictwa.

Wspomnieliśmy, że służba na placówce powinna być regulowaną na podstawie obserwacji, znajomości terenu, ludzi i stosunków. Kto te obserwacje ma przeprowadzać? Bezwzględnie każdy strażnik i to nietylko w służbie, ale i poza służbą. Jeśli rozpatrzmy ten

obowiązek strażnika w czasie spełniania jego służby, to stwierdzimy, że wielu strażników nie docenia ważności tych obserwacji. Strażnik, który ciągle, po powrocie ze służby nie ma nic do zameldowania, oprócz tego, że wykonał służbę ściśle według rozkazu, źle obserwuje, albo wcale nie obserwuje. Przecież spotyka on w swej służbie ludzi, o których mógłby coś powiedzieć, gdyby chciał tylko nad nimi zastanowić się. Przecież obserwuje teren i zdaje sobie sprawę, że jego linja patrolowania może mieć jakieś niedogodności w posuwaniu się po niej, że miejsce czujki mogło być zdradzone, że powstały jakieś zmiany warunków w terenie ze względu na pogodę, porę roku, że pożądana jest zmiana rozkładu służby dzięki takim, lub innym okolicznościom. Współdziałanie z kierownikiem placówki w rozkładaniu służby, należy do obowiązków każdego strażnika, bo sam kierownik placówki nie jest w stanie wszystkiego zaobserwować. Żadnemu strażnikowi nie może być obojętnym odbywanie czujki przez niego lub kolegę na zdradzonem miejscu, a więc, jeśli zdradzenie nastąpiło nawet z jego przyczyny, nie powinno go nic powstrzymać od zameldowania o tem bezpośredniemu przełożonemu. Jeśli strażnik zauważył, że w terenie wylała woda, zerwany został most, że gdzieś ktoś udogodnił sobie przejście, lub pojawili się w wiosce jacyś obcy ludzie, że znany przemytnik albo też podejrzany o przemytnictwo osobnik wykonuje czynności wymagające dokładnej obserwacji ze względu na ochronę granicy, powinien, nie czekając, zameldować o tem bezpośredniemu przełożonemu, aby ten mógł na czas zastosować właściwy rozkład służby.

Wszystkie te wiadomości, udzielane kierownikowi placówki, muszą być przedtem dokładnie stwierdzone, a jeśli nie udało się ich dokładnie stwierdzić, meldujący o tem strażnik obowiązany jest zaznaczyć, że wiadomości nie są sprawdzone. Sumiennosc w składaniu meldunków o służbie daje gwarancje, że służba będzie rozłożoną jaknajlepiej, natomiast wszelkie fantastyczne opowieści wprowadzają w błąd, a przez to szkodzą racjonalnemu planowi, kierują wysiłki placówki w próżnię, otwierając zagrożone punkty.

Tak zwane mądrzenie się w służbie jest szkodliwe narówni z błagą. Strażnik, uważający siebie za zdolniejszego od kolegów, przekonany, że powinien otrzymać jakieś specjalne zadania, niezadowolony z danego mu rozkazu, jest jak głuszc, którego myśliwy strzela w czasie tokowania. Jeszcze raz powtarzam, iż tak, jak niema na granicy żadnego mało znaczącego punktu, czy odcinka, niema w służbie granicznej również żadnego kroku małowartościowego, jeśli będzie on postawiony z namysłem, jeśli da on doświadczenie, na którym oprzemysł dalszą służbę.

Każdy krok, postawiony w służbie granicznej, musi mieć swoją wartość.

Każdy strażnik obowiązany jest dać jakna-

cej trafnych spostrzeżeń ze swej służby, bo od tego zależy dobra konstrukcja następnego planu.

Żaden strażnik nie ma prawa lekceważenia lub krytykowania rozkazu służby, bo od niego zależy wykonanie tego rozkazu, wykorzystanie terenu i okoliczności, zmiana rozkazu służby w uzasadnionym wypadku, a także od jego obserwacji zależy tworzenie każdego planu. Poza sporadycznymi meldunkami z obserwacji składanymi przez załogę placówki jej kierownikowi, sprawy tych obserwacji powinny być poruszane przez kierownika placówki na zbiórkach, urządzanych w razie potrzeby.

Wszyscy strażnicy muszą znać czułe miejsca w ochronie swego odcinka, aby łatwiej mogli zrozumieć rozkazy służby.

Strażnik graniczny musi zrozumieć, że nie jest on rekrutem, lub mechanicznym pionkiem, lecz myślącym, odpowiedzialnym za swoje czynności podoficerem, że ma prawo i obowiązek zgłaszania swych uwag i wniosków o służbie granicznej, aby jej plany jaknajbardziej udoskonalic. Dbałość o służbę graniczną, jej wykonanie i dbałość o swe przygotowanie fachowe tajemnica służbowych poczynań i zamiarów, jest wspólnem naszym wezwaniem, pod którym łączymy się w jeden odrębny, związany silnymi węzłami korpus, a czem silniejszymi będą te węzły, tem łatwiej dopniemy celu, tem lepiej spełnimy swój obowiązek.

Każdy doświadczony w służbie strażnik ma obowiązek kształcić fachowo swego młodszego kolegę, ma obowiązek urabiać go na dzielnego i sumiennego wykonawcę rozkazów. Naszym celem jest, aby każdy trybik w skomplikowanej naszej maszynie działał pewnie i niezawodnie, bo każdy zgrzyt, każde załamanie odbija się ujemnie na całości. Nietylko przełożeni mają obowiązek kontrolowania służby granicznej, lecz żaden sumienny strażnik nie będzie ukrywał szkodliwych poczynań służbowych swego kolegi, jak również, każdy sumienny strażnik będzie rozumiał, że własne czynności wymagają zawsze własnej kontroli, że, często samego siebie trzeba wziąć silnie w ręce, ujarzmiając własne słabości. Strażnik musi mieć silną wolę, aby na wytkniętej mu drodze służby umiał siebie prowadzić, szanując położone w nim zaufanie.

Sumiennego strażnika nie obraża, nie zraża, ani nie przestrasza choćby najczęstsza kontrola przełożonego, bo taki strażnik, nie lękając się kontroli, chętnie z przełożonym spotyka się.

Strażnik unikający przełożonego nie ma zaufania do samego siebie i pewności w swych postępkach służbowych, lub z sumieniem nie jest w porządku. A jednak, służba nasza jest takiego charakteru, że musi polegać na wzajemnem zaufaniu przełożonego do podkomendnego, kolegi do kolegi, na zaufaniu do siebie samego, bo tylko wtedy łatwo nam będzie cel służby osiągnąć, kiedy stanowić będziemy jednolitą całość.

# Moje wrażenia z bursy Małopolskiego Insp. Okręg.

(Artykuł dyskusyjny)

Jadąc do Przemyśla, usiłowałem odtworzyć sobie w wyobraźni obraz tego co miałem tam zobaczyć i zawsze to coś wychodziło małe i prymitywne, bo znając mniej więcej genezę bursy, byłem przekonany, że minimalny fundusz którym dysponowali założyciele bursy nie pozwoli na stworzenie czegoś wielkiego, odpowiadającego wszelkim wymogom. Jednym słowem, byłem nastrojony sceptycznie, ponieważ zasadniczo tworzenie burs, internatów lub tym podobnych zakładów, wymaga większego nakładu pieniężnego i doskonałej organizacji. Przekonałem się jednak, że tak twierdząc nie miałem racji, ponieważ nie tylko pieniądze mają moc twórczą, lecz taką samą siłę wykazują dobre chęci twórców i konsekwentne dążenie do celu.

Tem co zobaczyłem w Przemyślu byłem mile rozczarowany, gdyż przeszło to wszelkie moje wyobrażenia. Przekonałem się, że założyciele bursy nie tylko byli entuzjastami, lecz potrafili swe myśli konsekwentnie wprowadzić w czyn, nie wzdragając się przed żadnymi przeszkodami i trudnościami, wiedząc, że ratowanie duszy dziecka polskiego jest celem tak szczytnym, że warto nad nim popracować. I za tą pełną poświęcenia pracę należy im się uznanie nie tylko ogółu Straży Granicznej, lecz całego społeczeństwa polskiego, ponieważ ratując duszę dziecka przed wynarodowieniem, oddają sprawie polskiej wielką przysługę.

Przed zwiedzeniem bursy miałem możliwość zetknięcia się z zarządcą finansów bursy i dzięki jego informacjom zorientowałem się w gospodarce finansowej. Przekonałem się, że zużycie funduszy jest celowe i naprawdę bezinteresowna praca mego informatora jest wzorowa. Jednak pomimo wszystkiego głęboka troska biła z jego twarzy gdy skonstatowałem, że nie może związać końca z końcem, że rozchody przewyższają znacznie dochody i gdy zwierzył mi się, że zarząd bursy czyni wszystko co jest w jego mocy żeby temu złu zaradzić, jednak niestety zbyt mała jest garstka ofiarodawców. Wówczas wyrwał mi się z duszy krzyk pod adresem ogółu Straży Granicznej: Koledzy, jak jeden mąż śpieszmy na pomoc naszym braciom z Małopolskiego I. O. Nie pozwólmy, żeby brak solidarności koleżeńskiej miał być powodem ich troski. Ratujmy tę twierdzą polskość, którą stworzyli nasi bracia. Ratujmy dzieci naszych braci przed wynarodowieniem. Bo zniszczenie tego co powstało z głębokiej troski, co już kosztowało dużo heroicznym wysiłków, jest grzechem wołającym o pomstę do nieba. A czy jesteśmy pewni, że to co dziś przeżywają nasi bracia my jutro przeżywać nie będziemy?

A teraz wrażenia z samej bursy:

Bursa mieści się w ładnym nowym budynku w którym zajmuje ogółem 13 ubikacyj. Trzydzieści cztery wesoło uśmiechniętych twarzyczek wita zwie-

dzających bursę. Ten uśmiech swobodny i niewymuszony świadczy, że małym mieszkańcom bursy dobrze się wiedzie, a naprawdę szczery stosunek personelu do dzieci dowodzi, że bursa stara się w całości zastąpić dzieciom dom rodzinny. Skromnie lecz estetycznie urządzone jadalnie i sypialnie, oddzielne dla dziewcząt i chłopców, uderzają zwiedzającego czystością i wzorowym porządkiem, a zawieszona na ścianach obrazy świętych świadczą, że strona religijna nie jest również zaniedbana. Ale nie tylko wzorowe jadalnie i sypialnie znajdzie zwiedzający, lecz znajdzie tam również sanktuarjum duchowe w postaci małej salki ze scenką, na której mali bursiści popisują się przed rodzicami i zaproszonymi gośćmi podczas różnych uroczystości urządzanych przez kierownictwo bursy. Osobny pokój dla chorych umożliwia izolowanie dzieci chorych, apteczka domowa umożliwia udzielenie im pierwszej pomocy w nagłych wypadkach, dodając zaś jeszcze, że bursę odwiedza perjodycznie raz w tygodniu lekarz, stwierdzić muszę, że zarząd bursy dba wszechstronnie o zdrowotność dzieci. Wglądnięcie w specjalnie prowadzoną książkę wagi pozwala stwierdzić, że wszystkie dzieci przybierają na wadze, z czego wypływa wniosek, że wyżywienie jest wystarczające i pożywne. Ale i o kształcaniu i odpowiednim wychowaniu dzieci pomyślał zarząd bursy angażując do tego celu nauczycielkę dla dziewcząt i nauczyciela dla chłopców. Nauczycielka i nauczyciel nie tylko zajmują się kształcaniem i wychowaniem dzieci, lecz sprawują również nadzór nad nimi przez cały czas, w którym dzieci są poza szkołą; ba nawet śpią razem z dziećmi żeby im broń Boże w nocy jaka przygoda się nie przydarzyła. Wolne chwile od zajęć uprzyjemniają dzieciom przybory do gier i zabaw oraz radio. Jednym słowem naprawdę przyjemny musi być pobyt dziecka w bursie w Przemyślu. Jeśli jeszcze dodam, że duszą i prawdziwym opiekunem bursy jest Kierownik Małopolskiego I. O. p. Inspektor Zakliński, to uważam, że jest ona otoczona opieką naprawdę wystarczającą.

Powyżej wypowiedziałem zupełnie szczerze i bezstronnie swoje wrażenia odniesione w czasie zwiedzania bursy i jeszcze raz podkreślam, że jest to dzieło, które zasługuje na wszechstronne poparcie. A w największą dumę wprawiała mnie myśl, że bursa i jej mali mieszkańcy, którzy patrzą na nas jak na dobrych znajomych, są w stu procentach nasze. Więc popierajmy solidarnie to dzieło; niech bursa stanie się naszym wspólnym pupilkiem, a jej małym mieszkańcom nie odmawiajmy pomocy, przeciwnie starajmy się zapewnić im beztrudny pobyt w bursie. Rodziców, którzy już swe dzieci umieścili w bursie mogą zapewnić, że o swych gagatki mogą być zupełnie spokojni, gdyż naprawdę dobrze im się dzieje w bursie. Zaś scepty-

kom, którzy wszystko widzą na czarno, mogą jedynie doradzić osobiste zwiedzenie bursy, a tam przekonają się o błędności swych twierdzeń. Jeśli nie mogą osobiście zwiedzić bursy, niech wstrzymają się od jakiegokolwiek krytyki, bo krytykując szkodzą dobrej sprawie.

Opisawszy powyżej moje wrażenia, wstrzymuję się w zupełności od wypowiedzenia jakichkolwiek uwag krytycznych odnośnie bursy Małopolskiego Insp. Okr., a to dlatego, że nie dorzuciwszy dotychczas swej cegiełki do tego dzieła, nie czuję się kompetentnym do wypowiadania uwag. Poza tem zbyt krótki czas istnieje bursa, żeby już miała być doskonała pod każdym względem. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że zarząd bursy czyni wszystko żeby dostosowali bursę do potrzeb życiowych.

Jedno co zaleca się uczynić i to w tempie przyspieszonym, to zorganizowanie pomocy finansowej dla bursy. Nie będę podawał form tej pomocy, jednak uważam, że winna ona obciążyć solidarnie ogół Straży Granicznej, niezależnie od tego, czy w bursie będą dzieci tylko z odcinka Małopolskiego I. O., czy też z innych odcinków, a to dlatego, że chodzi tutaj o ratowanie „naszych” dzieci przed wynarodowieniem i przekleństwo tych dzieci spadłoby na nas gdybyśmy dopuścili do tego, że nasze polskie dzieci w wolnej Ojczyźnie miały się wynaradawiać. Pomoc finansowa jest o tyle konieczna, że opłaty za utrzymanie dzieci płacone przez rodziców, a wynoszące od jednego dziecka 30.00 zł. i od każdego dalszego dziecka 25.00 zł. miesięcznie, wystarczają zaledwie na wyżywienie dzieci i personelu. Według prowizorycznych obliczeń wynoszą inne wydatki jak czynsz, opłata personelu, ubezpieczenia społeczne, opał i światło, przeciętnie 800.00 do 900 00 zł. miesięcznie. Wydatki te muszą być pokryte z innych źródeł, ponieważ podwyższenie opłat płaconych przez rodziców, uważam za niewskazane. Coprawda zmieni się cokolwiek sytuacja, gdy bursa będzie posiadała własny dom, ale i wtedy jeszcze pomoc finansowa będzie konieczna. Zaś składki miesięczne płacone przez oficerów i szeregowych Małopolskiego I. O. nie wystarczą. A zresztą dlaczego właśnie nie mają opodatkować się ci, którzy mają dobre warunki szkolne, na korzyść tych, dla których ta sprawa jest codzienną troską?

Zagadnienie bursy jest obecnie więcej aktualne niż kiedykolwiek. Na terenie Małopolskiego I. O. spełnia bursa dwa zasadnicze zadania, a mianowicie: ratuje dzieci przed wynarodowieniem i zapewnia im odpowiedni poziom wykształcenia. Na innych odcinkach odpada ratowanie dzieci przed wynarodowieniem, pozostaje jednak otwarta kwestja zapewnienia im odpowiedniego wykształcenia. Wiemy bardzo dobrze, że jakiegokolwiek dziedzinie dzieci by się w przyszłości chciały poświęcić, wszędzie będzie wymagane wykształcenie z zakresu conajmniej 7 klas szkoły powszechnej. Nie posiadając kapitałów i dóbr materialnych, obowiązkiem każdego ojca jest zapewnienie swojemu dziecku

choćby tylko tego podstawowego wykształcenia. Jeżeli teraz zważymy, że tych szczęśliwych ojców, w których miejscu służbowym jest 7 klasowa szkoła powszechna, jest stosunkowo mało, zrozumiemy jak poważnym zagadnieniem dla ogółu jest bursa. Już dziś spotykamy się ze zjawiskiem, że dzieci wysyła się do miasta do krewnych lub znajomych, żeby im zapewnić choćby tylko minimum wykształcenia, płacąc niejednokrotnie więcej niż pobiera bursa, nie zapewniając jednak dziecku tych wszystkich dobrodziejstw które daje bursa.

Chcąc wysondować zapatrywania kolegów własnego i sąsiednich komisarjatów, omawiałem w ostatnim czasie przy każdej sposobności sprawę kształcenia dzieci i przekonałem się, że troską wszystkich jest zapewnienie swym dzieciom wykształcenia choćby tylko z zakresu 7 klas szkoły powszechnej. Wówczas podsuwałem bursę w Przemyślu, jednak pomimo najlepszych chęci i największych sympatji dla bursy, wszyscy wysuwali jako największą przeszkodę wielką odległość dzielącą Przemyśl od Pomorza i mimowoli musiałem im przyznać rację. Jeżeli zważymy, że przestrzeń dzieląca poszczególne siedziby Straży Granicznej na Pomorzu od Przemyśla wynosi 700 do 900 kilometrów, to naprawdę działa ona odstraszająco. Wchodzą tu w rachubę wydatki takie, jak koszt podróży dzieci i osób odwożących dzieci do bursy, wyjazdy na wakacje i powroty z wakacji, oraz podróży spowodowanych nadzwyczajnymi wypadkami jak choroba dziecka, wypadek w rodzinie. Jednorazowy wyjazd dziecka na wakacje i powrót do bursy kosztowały 40,00 do 50,00 złotych, a jeśli dziecko jeszcze samo podróżować nie może i będzie trzeba po nie jechać do bursy i znów z powrotem odwieźć, koszt będzie znacznie większy i wobec tego trzeba tę przeszkodę traktować bardzo poważnie. Poza tem świadomość, że przestrzeń dzieląca dziecko od rodziców jest tak olbrzymia, mogłaby oddziaływać na stan psychiczny dziecka.

Z powyżej przytoczonych przeszkód wpływa wniosek, że pomimo nastawienia obecnej bursy Małopolskiego I. O. do potrzeb ogółu Straży Granicznej, przyptyw dzieci z innych odcinków będzie bardzo minimalny lub żaden, gdyż odcinek śląski, który byłby jeszcze najbliższy, ma zasadniczo dobre warunki szkolne, zaś inne odcinki są już zbyt daleko odległe. Nie chcę jednak temsamem powiedzieć, że bursę należy zabrać z terenu Małopolskiego I. O.; przeciwnie, tam ona jest i pozostać musi ze względu na spełnianie swych ważnych zadań. Jednak może nie od rzeczy będzie zastanowienie się nad utworzeniem jeszcze jednej bursy dla zaspokojenia potrzeb innych odcinków. Wysuwam jedynie myśl, jako temat nadający się do dyskusji, gdyż zrealizowanie tej myśli może nastąpić dopiero po dokładnym przemyśleniu i wypowiedzeniu się oficerów i szeregowych Straży Granicznej z poza Małopolskiego I. O.

Markowski  
st. przodownik

## MARJA CURIE - SKŁODOWSKA

Dnia 4 lipca r. b. zmarła w jednym z sanatorjów francuskich Marja Curie-Skłodowska, wielka polska uczona, wsławiona odkryciem promieniotwórczego radu.

Marja Skłodowska urodziła się w Warszawie w r. 1867, jako córka nauczyciela gimnazjalnego i przełożonej pensji żeńskiej. Ojciec, nauczyciel fizyki i matematyki, wytknął drogi jej życia, obudził w córce zamiłowanie do fizyki. On dawał jej pierwsze wskazówki w dziedzinie, która miała się stać jej karierą życiową. Ukończywszy młodo gimnazjum, zajmowała się jakiś czas w pracowni fizycznej warszawskiego Muzeum Przemysłu i Rolnictwa oraz zarabkowała na utrzymanie jako nauczycielka. Następnie wyjechała na studia do Paryża.

Trzeba pamiętać, że kosztowało ją to wielką ilość energii i wymagało silnej woli, ponieważ przed 30 — 40 laty mało która kobieta poświęcała się samodzielnej pracy naukowej a kobieta-studentka nie była zjawiskiem tak pospolitem, jak obecnie.

Szybko posuwając się po stopniach naukowych, ukończyła całkowicie studia w r. 1893. Powróciła wówczas do Polski. Ale bramy wszechnic krajowych stały przed nią zamknięte. Wyjeżdża więc znów do Paryża — tym razem wyjeżdża już na stałe. W r. 1895 wy-

szła zamąż za Francuza Piotra Curie, profesora fizyki w Paryżu.

Rozpoczęło się życie wspólne małżonków, poświęcone wyjątkowo pracy naukowej. W skromnych, po części nawet niedogodnych warunkach pracuje młoda para nad tajemnicami Natury. Nareszcie odkrywa, że pewne ciała, pewne metale promieniają, t. j. wydają ze siebie światło i że to promieniowanie znakomicie można wyzyskać w przemyśle i lecznictwie.

O wspólnych z mężem badaniach wiekopomnych tak później pisała Curie-Skłodowska: „W szopie tej, w której latem niemiłosiernie piekło słońce, a zimą słabo grzał piecyk żelazny — bez podłogi, z oszklonym dachem, niedostatecznie chroniącym nas przed niepokodą — spędziliśmy najszcześniejsze lata naszego istnienia, poświęcając się całkowicie pracy bez wypoczynku. Nie bacząc, żeśmy byli pozbawieni udogodnień, które wielce ułatwiają pracę chemika, wykonaliśmy tam mnóstwo doświadczeń nad wciąż rosnącą ilością ciał”. I dalej pisze Skłodowska: „Czasem wypadło nam wejść w nocy do pracowni. Przypominam sobie dokładnie zachwyty, jakiegośmy wówczas doznawali na widok słabo lśniących zarysów tych owoców naszej pracy, które zewsząd ku nam spoglądały”. Dodajmy, że kiedy znużony długoletnimi poszukiwaniami Piotr Curie prze-

HENRYK GOŁOGÓRSKI

## Józef Piłsudski a kontrabanda polityczna

(Ciąg dalszy).

Zczasem te tarcia między nową Centralizacją a „krajem” stopniowo zanikły, przeobraziły się też nieco stosunki wewnętrzne w „komunie” beaumontskiej. Piąty członek nowej Centralizacji, Władysław Studnicki, po krótkim pobycie w Londynie wyjechał na kontyngent — do Szwajcarii i Niemiec, Dębski wraz z żoną i dzieckiem opuścili Beaumont Square i w roku 1899 wyjechali do Ameryki Północnej. Między nową Centralizacją a Jędrzejowskim, niesłusznie pokrzywdzonym na zjeździe zuryskim, nawiązywały się normalne, coraz bardziej zacieśniające się stosunki. W ostatecznym rezultacie doprowadziło to wszystko do zupełnej likwidacji Z. Z. S. P. jako odrębnej organizacji. Na zjeździe w Zurychu w r. 1899 Z. Z. S. P. został przekształcony na oddział zagraniczny P. P. S., Centralizacja na Komitet Zagraniczny P. P. S., „Przedświt” od r. 1900 stał się organem zagranicznym P. P. S.

Jeszcze wcześniej, bo w połowie 1899 r. przystąpiliśmy do zlikwidowania starej rudery na Beaumont Square. Został wyszukany na dalekim przemieściu Leytonstone w dzielnicy N. E., zamieszkałej przeważnie przez drobnych urzędników i funkcjonariuszy bankowych, dom pod Nr. 67 przy ul. Colworth Rd. W domu tym osiedliła się rodzina Jędrzejowskich. Tamże umieszczona została drukarnia wraz ze składem wydawnictw. Odtąd aż do zupełnego zlikwidowania „Londynu” dom ten, posiadający nazwę „Lingwood”, był głównym ośrodkiem partyjnym na emigracji. Stąd Jędrzejowski utrzymywał stosunki z całym Oddziałem Zagranicznym P. P. S. w Europie i Ameryce, tu składano coraz bardziej rosnące liczebnie wydawnictwa P. P. S., stąd szły one do kraju i do wszystkich organizacji emigracyjnych. Duszą tej roboty był Jędrzejowski, znany w szerokich kołach partyjnych pod pseudonimem „Baja”, który od połowy kwietnia 1899 r. objął administrację drukarni i wydawnictw, zaś po zjeździe zuryskim 1899 r. sekretarjat wraz z całą ekspedycją wszystkich wydawnictw wobec czego pozostało mi tylko samo redagowanie „Przedświtu”. Miałem więc już teraz więcej czasu, co mi pozwalało na literacką pracę zarobkową i na nawiązanie pewnych stosunków.

„Baja” był z zawodu buchalterem, pochodził z Piń-

zywał chwile zwątpienia, Curie-Skłodowska wyteżała siły, aby przekonać męża, że należy dalej prowadzić prace, że dojdą do odkryć upragnionych.

Zwrotnym dla pracy naukowej małżonków był rok 1898. Tego roku wydzielili z rudy, zawierającej różne składniki, oddzielili i wykryli dwa nowe nieznane dotąd pierwiastki, które właśnie najbardziej promieniąją — polon (tak nazwany przez Skłodowską na cześć Polski) tudzież rad. W tem miejscu, dodajmy, że jak się wkrótce okazało, promienie radowe leczą różne ciężkie choroby, m. in. raka, wcześniej rozpoznanego.

Aby zrozumieć, jakie trudności musieli pokonywać uczeni w swych pracach, wymieńmy choć jeden szczegół: w tonnie rudy uranowej, którą wydobywają w Czechach i w Ameryce, zawiera się zaledwie jedna dziesiąta część grama radu. Więc trzeba przetopić 10 tonn czyli 10 tysięcy kilogramów tej rudy, pooddziać różne jej składniki, różne inne pierwiastki, aby umyślnymi, złożonemi sposobami wytopić z tego ogromu znikome ziarenko radu — zaledwie jeden gram! Dlatego rad jest taki kosztowny. W r. 1904 powstała we Francji pierwsza wytwórnia przemysłowa radu, pracująca podług wskazówek małżonków Curie. Uczona zaś para otrzymała nagrodę Nobla.

Dnia 10 czerwca roku 1906 nieszczęście spadło na Marję Curie-Skłodowską: wóz ciężarowy przejechał przechodzącego ulicą w zamyśleniu profesora Curie i zmiażdżył mu czaszkę. Uczona pozostała sama z dora-

stającemi córkami. Objęła po mężu wykłady fizyki na wszechnicy paryskiej, zwanej Sorboną. Prowadzi dalej badania. Otrzymuje wiele odznaczeń i nagród. W r. 1913 rząd francuski wzniosł dla niej instytut radowy — Skłodowska-Curie dostaje nareszcie własną, piękną, nowoczesnie urządzonej pracownię. Na pomocnicę swą kształci teraz starszą córkę. Tegoż roku 1913 odwiedziła Warszawę. Powstała wówczas, za jej wskazówkami, pierwsza w Polsce placówka nowej nauki — Pracownia Radjologiczna przy Towarzystwie Naukowym Warszawskim.

W czasie wojny Curie-Skłodowska tworzy i sama prowadzi na front samochodowe ambulanse radowe. Następnie tworzy w Paryżu szkołę lekarską radową, która wyszkoliła 180 pracowniczek specjalistek do obsługi w szpitalach wojennych.

Po wojnie Curie-Skłodowska po raz drugi otrzymuje nagrodę Nobla. W r. 1921 na zaproszenie z za oceanu jedzie do Ameryki. Z rąk prezydenta Hardinga otrzymuje gram radu, złożony jej w darze przez kobiety amerykańskie. Tegoż roku znów odwiedza Warszawę. Powstaje wówczas pod jej honorowem przewodnictwem Towarzystwo Instytutu Radowego. Przybyła również do Warszawy w cztery lata potem, na uroczystość założenia kamienia węgielnego pod gmach Polskiego Instytutu Radowego na ul. Wawelskiej. Otrzymany w r. 1929 podczas ponownego pobytu w Ameryce drugi gram radu Curie-Skłodowska ofiarowała Insty-

szczyzny i od lat najmłodszych brał udział w ruchu socjalistycznym, należąc w kraju do „Proletariatu”. Wyemigrowawszy w sierpniu 1891 r. z Warszawy do Londynu, przebywał tam w ciągu 8 miesięcy, poczem przeniósł się do Berlina, gdzie pracował przy „Gazecie Robotniczej”. Aresztowany wraz z Feliksem Perlem w sierpniu 1892 r. i wydalony z Niemiec, udał się do Francji, skąd go znowu wydalono, skutkiem czego znalazł się ostatecznie w Londynie. Fanatycznie oddany sprawie socjalizmu, służył jej z bezgranicznym poświęceniem, nic w zamian dla siebie nie żądając, prowadząc życie niemal ascetyczne, nie znając żadnego wypoczynku. Posiadał dobrze języki zachodnio-europejskie, pisywał po niemiecku i po francusku, na angielski przełożył „Krzyżaków” Sienkiewicza. Był wszechstronnie wykształcony, zwłaszcza w dziedzinie społeczno-politycznej. Wszystkie wolne chwile spędzał nad książkami i znał dobrze współczesne literatury zachodnio-europejskie. Jako publicysta miał styl dość ciężki, natomiast był doskonałym mówcą, świetnym zwłaszcza w polemice, operującym oryginalnymi zwrotami i dosadnymi określeniami. Każdy, kto go poznał bliżej, nie mógł się szczerze do niego nie przywiązać. W poglądach swoich był oryginalny, obcy doktrynerstwu, i skłaniał się ku tendencjom rewizjonistycznym, propagowanym wówczas

przez Edwarda Bernsteina, również stale mieszkającego w Londynie.

Stosunki między nami a „krajem” zociesniały się coraz bardziej, gdyż do Londynu przyjeżdżali coraz to nowi ludzie. Jednym z pierwszych za czasów mojego tam pobytu był Tytus Filipowicz, sztygar z Dąbrowy Górniczej, który, będąc aresztowany przez żandarmów, uciekł im z drogi i przedostał się do Krakowa. Ponieważ groziło mu tam wydanie w ręce władz rosyjskich, przeto musiał wyjechać i przybył do Londynu. Tu stanął przy kaszcie drukarskiej na Beamoncie, jednocześnie zaś począł uczyć się angielskiego, później zaś wstąpił do Szkoły Nauk Politycznych, którą też ukończył. Drugim takim zecerem inteligentem był Kazimierz Rożnowski, który przybył do Londynu w celu nauczania się zecerki, aby później pracować w tajnej drukarni „Robotnika” w kraju. Był to ukończony przyrodnik z Moskwy, pochodzący z Witebszczyzny. Ukrywał on swoje prawdziwe nazwisko ze względów konspiracyjnych i występował pod pseudonimem „Karola”. Pseudonim ten wkrótce został przerobiony żartobliwie na „Karbol”, i pod tem mianem Rożnowski znany był w kołach partyjnych aż do wsypania się razem z Józefem Piłsudskim w drukarni partyjnej „Robotnika” w Łodzi w roku 1900. Takim zecerem-ochotnikiem był również Faustyn



tutowi Radowemu w Warszawie. Po raz ostatni odwiedziła Ojczyznę i swe miasto rodzinne w maju roku 1932. Wówczas to 29 maja odbyło się w jej obecności poświęcenie Instytutu już pracującego.

Jak stwierdzili lekarze, śmierć jej przyspieszyło złośliwe wycieńczenie, wywołane działaniem t. zw. promieni X podczas badań naukowych. Do ostatka zachowała całkowitą przytomność i jeszcze na krótko przed zgonem dawała na łożu śmiertelnym wskazówki swym bezpośrednim współpracownikom.

Śmierć jej okryła żałobą cały świat naukowy, w szczególności zaś Polskę i Francję. Popłynęły z Polski do jej córek dziesiątki depesz od najwyższych dostojników, od rządu, od zakładów naukowych, od uczonych i od innych osób prywatnych. Depesza Pana Pre-

zydenta, który sam będąc uczonym technologiem, od dawna znał Curie-Skłodowską, brzmiała jak następuje:

„Zgon ś. p. Matki Pani ciężką żałobą okrył całą ludzkość, która jej wielkim odkryciom naukowym zawdzięcza olbrzymie postępy w wielu dziedzinach. Polska traci w ś. p. Skłodowskiej-Curie nie tylko uczoną, która imię jej ojczyzny wsławiła w całym świecie, ale i wielką obywatelkę, zawsze przez całe życie czujnie stojącą na straży interesów swego narodu. W dniu ciężkiej żałoby na ręce Pani składam wyrazy głębokiego współczucia”.

Z temi słowami współczucia i żałoby, wyrażonemi przez Głowę Państwa, łączy się cała Polska.

Cześć Jej pamięci!

## C Y G A N I E

Plaga cyganów, tych „wiecznych tułaczów”, nie mogących sobie znaleźć miejsca na całym świecie, najwięcej daje się odczuć na pograniczu. Pełno ich w miesiącach letnich na granicy polsko - czechosłowackiej i polsko - rumuńskiej. Włóczą się z miejsca na miejsce, wróżą, leczą bydło ciemnej ludności, trudnią się blacharstwem, urządzają widowiska z niedźwiadkami i małpami, wygrywają smętnie na skrzypcach w t. zw. kapelach cygańskich. Głównie jednak kradną, kradną

na potęgę, kradną co im w ręce wpadnie. Znaczący i miłośnicy koni ze szczególnym zamiłowaniem kradną konie, które potem zmienione do niepoznania sprzedają w odległych okolicach, często po drugiej stronie granicy państwowej.

Ma z nimi wiele do czynienia Policja Państwowa, ma Straż Graniczna na pograniczu, dlatego nie od rzeczy będzie zaznajomić się z ciekawym artykułikiem o cyganach pióra Stefana Górskiego.

Czerwijowski, przyszedł dyrektor Biblioteki Publicznej w Warszawie, który pracował w drukarni na „Lingwoodzie”. Przez dłuższy czas pracował w tym samym charakterze na „Lingwoodzie” starszy działacz partyjny z kraju Ludwik Wernyhora (pseud. „Kapral”). Zecerki uczył się również w Londynie Aleksander Malinowski, jeden z najwybitniejszych kierowników P. P. S., który, skompromitowawszy się w kraju, przybył na pewien czas do Londynu, aby stąd później, zmieniając nazwisko i wygląd, powrócić do roboty krajowej. Tak samo uczył się zecerki i pracował w londyńskiej drukarni partyjnej dr. Feliks Sachs, który po powrocie do kraju stał się zczasem jednym z przywódców „Lewicy” P. P. S. Pracował tam również Stanisław Wojciechowski, który przyjechał znowu do Londynu, po ożenieniu się w r. 1899. Był to najlepszy zecer, jakiegośmy posiadali, gdyż składał prawie bez błędów. Trzeba przyznać, że inteligenci bardzo szybko uczyli się zecerki, gdy tymczasem robotnikom, zwłaszcza mającym spracowane ręce, przychodziło to z wielkim trudem.

Do Londynu został sprowadzony z Galicji dr. Feliks Perl, który redagował „Światło” po przejęciu przez Jędrzejowskiego sekretariatu i administracji wydawnictw londyńskich. Perl nie mieszkał na „Lingwoodzie”, ale przychodził tam wieczorem, pracował

do rana, poczem szedł spać do siebie na cały dzień. Ten dziwaczny tryb życia pędził aż do wyjazdu na „nielegalnego” do kraju, gdzie objął po Józefie Piłsudskim redakcję „Robotnika”.

Poza przyjezdnymi emigrantami, przybywającymi do Londynu na czas dłuższy, oraz fachowymi zecerami, jak Tadeusz Bobrowski, Gilar, Burkot i inni, mieliśmy gości czasowych, którzy zjawiali się tam w charakterze przedstawicieli organizacji krajowej dla załatwienia pewnych interesów partyjnych. W tym charakterze przyjeżdżał Piłsudski, który między innymi pisał w Londynie przedmowę do memoriału Imeretyńskiego, Wojciechowski, który przebywał w Londynie dłużej, dojeżdżał jednak w nagłych wypadkach, jak to np. było po wyspaniu się łódzkiej drukarni P. P. S., do kraju, Aleksander Sulkiwicz i inni”.

Na innym miejscu tej samej monografii prof. Wasilewski tak charakteryzuje stan materialny londyńskiego środowiska emigracyjnego:

„Wpływy z rozpowszechniania wydawnictw oraz składki kilkudziesięciu członków Z. Z. S. P., rozsypanych luźno lub po sekcjach w całej Europie Zachodniej — oto były jedyne dochody, z których utrzymywano całą działalność londyńskiej grupy emigra-

„Z nastaniem wiosny już ich pełno na wszystkich drogach, po borach, zagajnikach. Włóczą się bandami po wsiach, miastach i miasteczkach. Budzą odrazę i postrach wśród ludności wiejskiej.

W wielkich miastach są przedmiotem tylko sensacji. Patrzą na nich z uśmiechem pobłażania, tak, jak się spogląda na coś niecodziennego, a egzotycznego.

Dla malarzy, poetów, muzyków, to nawet „temat” W literaturze, w muzyce, w malarstwie nie brak tematów cygańskich. Zarówno w sztuce obcej, jak polskiej.

Ale dla wsi i osad zjawienie się bandy cyganów równa się najściu hordy z czasów średniowiecza. Uprząta się wszystko i wszystko zamyka. Ludzi zwołuje wtedy z pola, aby przyszli strzedz swego domostwa i swego dobytku.

Te bandy koczują często w sile kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu wozów. Węszą, gdzie komu coś niepostrzeżenie sprzątnąć; najpierw proszą, a później grożą i złorzeczą. Spokojna ludność wiejska z goryczą i żalem wypowiada się pod adresem organów bezpieczeństwa i ustaw państwowych, jak mogą tolerować to jawne hultajstwo zawodowych próżniaków, żyjących z cudzej pracy, którzy nie orząc, zbierają, nie trudząc się, chodzą ubrani i syci.

Na obszarze Rzeczypospolitej liczą ich u nas 16.000. Wobec 800.000 cyganów w całej Europie jest to liczba względnie mała. Cóż znaczy wobec 300.000

w Rumunji, lub 280.000 na Węgrzech, albo 116.000 w Jugosławji?! Ale przy nadzwyczajnej ruchliwości tych koczowników, przerzucających się ustawicznie i nieprzerwanie z miejsca na miejsce, liczba cyganów w Polsce jest aż nadto dokuczliwa i stanowi dla ludności naszej dostatecznie poważne zagadnienie i temat niestłabnącej nigdy skargi.

Jest to zresztą zagadnienie odwieczne. Odkąd koczownicy ci na schyłku XIII-go wieku przerzucili się z Indji, najpierw na Bałkany, a następnie rozpełzli się po całej Europie i trafili wreszcie także do Polski, skargi na nich nie ustają w żadnym okresie naszej historii.

W dziejach prawodawstwa polskiego nie brak ustaw specjalnych o cyganach. Sięgają one jeszcze XVI-go stulecia, w których pod rokiem 1557 mówi się że „cyganie, albo ludzie niepotrzebni, będą przez nas z ziemi wywołani i na potem nie mają być do niej przyjmowani”. Trzeci statut litewski przestrzega przed cyganami nie tylko jako przed hultajami, żyjącymi z kradzieży, ale że „wychodząc do innych ziem zwłaszcza nieprzyjacielskich, szpiegami i wodzami do złego mogliby się stać”.

Pod koniec panowania króla Stanisława Augusta komisja policji dawała cyganom rok czasu na osiedlenie się po wsiach, po upływie tego terminu mieli być ścigani, jako włóczędzy. Czacki w obszernej rozprawie

cyjnej. Oczywiście, że środków tych, wzmacnianych perjodycznymi przesyłkami należności za wydawnictwa, wzięte przez P. P. S. zaboru rosyjskiego, nie wystarczało na opędzenie najelementarniejszych potrzeb Centralizacji. To też wśród emigrantów, zatrudnionych przy „Przedświcie”, panowała nieprawdopodobna nędza, zmuszająca ich do obywatowania się w najlepszym razie kilkunastu szylingami na tydzień. Jedyna płatna posada — sekretarza Centralizacji, a zarazem administratora jej wydawnictw, wynosiła 4 funty na miesiąc, co wówczas odpowiadało 38 rublom. Było to minimum, mniejsze od zarobku najniżej opłacanego niewykwalifikowanego robotnika londyńskiego. Część inteligentów utrzymywała się z zarobków zecerskich, ale nie każdy umiał składać, więc musiano się tego uczyć na emigracji. Jakkolwiek zarobki w drukarni „Przedświtu” odpowiadały normom, ustalonym przez angielskie związki zawodowe, to jednak z wypłatą tych zarobków zawsze była wielka bieda, i dopiero, kiedy z kraju przychodziła jakaś większa kwota (maksimum 200 rubli), albo kiedy udawało się otrzymać jakiś prywatny obstalunek, wypłacano zecerom partyjnym część ich należności. O te obstalunki prywatne było bardzo trudno, gdyż na miejscu prawie nie było żadnej klienteli, i tylko „Zjednoczenie Tow. Młodz. Polsk. Zagr.”, w którego zarządzie rej wodzili członkowie Z. Z. S. P., od czasu

do czasu zwracało się z poważniejszymi obstalunkami.

Brak środków wpływał na nienormalność wychodzenia „Przedświtu”. Centralizacja posiadała właściwie tylko zecernię, w której składano a potem zabijano w ramy złożone strony wydawnictw, odbijanie zaś ich na maszynie odbywało się w angielskiej oficynie drukarskiej, której właściciel kredytował tylko do pewnej normy, poczem zawieszał pracę, żądając nowej zaliczki, co nie przychodziło Centralizacji z łatwością.

Nędza wśród członków Centralizacji i wogóle emigrantów była zjawiskiem stałym, gdyż nie mogli oni liczyć na żadne zarobki jako wykolejeni i niedoszli lekarze, przyrodnicy, technicy i t. d. Zresztą na przeszkodzie stała tu i nieznamość języka angielskiego. Z braku tych zarobków szukano takich np. źródeł utrzymania, jak fabrykacja kefiru, której oddawał się przyszedły Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, zanim się nie przeniósł był z Londynu do Fryburga szwajcarskiego.

Ten niesłychanie niski poziom zasobów majątkowych, na jakim znajdowała się większość emigracji inteligentkiej w Londynie, utrudniał jej — obok nieznamości języka — wszelkie stosunki z otoczeniem. Utrzymywano łączność, niejako urzędową, z przed-

pisze, że do r. 1792 osiadło po wsiach około 150 rodzin cygańskich i, że nawet dzieci swoje zaczęli oddawać do szkół.

Odtąd prawodawstwo nasze przestaje zajmować się cyganami. Interesuje się nimi tylko w konieczności kryminologja i policja, a przepisy administracyjne jedynie regulują rygory o postojach cygańskich w ich odwiecznej włóczędze. Prasa ma też ich w stałej pamięci, ale wyłącznie w rubrykach: zabójstwa, kradzieże, oszustwa i porwania.

Przed kilku laty cyganie węgierscy dostarczyli prasie całego świata sensacyjnego materiału, kiedy policja wykryła uprawianie ludożerstwa wśród tamtejszych band cygańskich. Wzburzenie ludności węgierskiej było ówczesnie tak wielkie, że cyganom groziła pomsta ludu.

Sprawa cygańska nie jest zagadnieniem ściśle lokalnym, jednego tylko państwa. Cyganie przerzucają się z kraju do kraju. Pełno i u nas cyganów obcokrajowych, szczególnie rumuńskich, bułgarskich, węgierskich i serbskich. Nie jest to jednak sprawa, o którym państwo polskie miałoby tylko zachowywać milczenie. Ludność naszą należy raz wreszcie uwolnić od tych natrętnych włóczędów. To jest zagadnienie, o którym nie wolno zapominać.

Bezkarna włóczęga tych hord średniowiecznych powinna być wreszcie ukrócona. Jest to zagadnienie,

którem przedewszystkiem winna się zająć Liga Narodów i obmyślić sposoby uwolnienia Europy od uciążliwych natrętów.

Niedawno inicjatywa rozwiązania tego przykrego zagadnienia i odseperowania krajów europejskich od zbytecznych koczowników wyszła od króla cyganów polskich. Zapowiedział on w prasie, iż rozpoczyna agitację nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami, aby wszystkich cyganów przesiedlić na jedną z wysp, którą wyznaczyłaby im Liga narodów. A więc nowa kolonja cygańska?!

Trudno przeceniać wpływy króla polskich cyganów, szczególnie w obozach zagranicznych. Trudno też przypuścić, aby cyganie całej Europy zgodzili się zbyt łatwo zmienić tryb życia i dobrowolnie wędrować chcieli na nieznaną wyspę, aby jąc się tam pracy, kiedy przez tyle wieków przywykli do korzystania z łatwiejszego cudzego chleba i dobytku. Ale sprawę cygańską tak, czy inaczej, załatwić trzeba. Nie wolno na łup dzikich hord natrętnych koczowników wydawać naszych wsi i przyglądać się obojętnie wędrowkom jawnych rozsadników przestępstwa i chorób.

Ludność wielkowiejska może zagadnienia tego nie docenia należycie, ale wieśniacy nie zasługują na to, aby pomijano ich interesy i lekceważono opiekę nad ich mieniem i spokojem".

*Słaan Górski.*

stawicielami socjalizmu angielskiego, wówczas jeszcze bardzo słabego, oraz z jednostkami z emigracji niemieckiej i rosyjskiej. Ale i te stosunki były bardzo luźne wobec olbrzymich odległości siedliska Centralizacji (7, Beaumont Square Mile End E) od rozmaitych punktów, w których gnieździła się emigracja innych narodów. Na 1-go maja Centralizacja delegowała zwykle jednego ze swoich członków, który zabierał głos z trybuny w Hyde Park w imieniu socjalizmu polskiego w szeregu mówców innych narodowości. Czasem delegat polski brał udział w jakiejś uroczystości międzynarodowej, zorganizowanej czy to przez socjalistów angielskich, czy rosyjskich, albo żydowskich. Osobistych stosunków prawie z nikim z poza własnej kolonji nie utrzymywano. Życiem miejscowem interesowano się słabo, gdyż cała uwaga emigracji londyńskiej była skupiona dokoła postępów, powodzeń i klęsk ruchu socjalistycznego w kraju. Dzienniki angielskie czytywało zaledwie parę osób, ale i to nie dla zapoznawania się ze stosunkami miejscowemi, lecz dla śledzenia angielskiej polityki zagranicznej. Większe już zainteresowanie budziła socjalistyczna prasa niemiecka, z dziennikiem „Vorwärts” i tygodnikiem „Neue Zeit” na czele. Oczywiście, najbardziej się interesowano wydawnictwami krajowemi, które nadchodziły do Londynu przeważnie na wymianę za „Przedświt”.

Centralizacja dbała o stosunki międzynarodowe pod jednym kątem widzenia. Chodziło jej mianowicie o jak największe spopularyzowanie programu P. P. S. I propaganda w tym kierunku była prowadzona bardzo energicznie. Były przedewszystkiem wykorzystywane dawne tradycje polonofilskie, istniejące wśród starszych kierowników niemieckiego ruchu socjalistycznego, pomnych braterstwa broni z Polakami jeszcze z czasów 1848 r. Wyrzicielami tych idei polonofilskich byli w ruchu niemieckim (poza zmarłym już wówczas Karolem Marksem) stale przebywający w Londynie Fryderyk Engels, następnie Wilhelm Liebknecht, szczery i gorący przyjaciel Polski i konsekwentny zwolennik jej niepodległości. Dzięki Liebknechtowi udawało się zamieszczać w „Vorwärts”-ie berlińskim artykuły w obronie hasła niepodległości i polemizować z ich przeciwnikami. Osobisty przyjaciel Liebknechta, Juljusz Motteler, słynny „czerwony pocztmistrz” z czasów ustaw wyjątkowych przeciwko socjalistom w Niemczech, który mieszkał na emigracji w Londynie, był pomocnym Centralizacji nawet w jej technice. Wszystkie transporty bibuły londyńskiej do kraju szły bowiem do Mottelera, który je ekspedjował do Niemiec, zacierając wobec szpiegów rosyjskich dalsze ślady ich wędrowki do zaboru rosyjskiego. Z Liebknechtem Centralizacja utrzymywała stałą korespondencję, zwłaszcza w sprawie pol-

## Jan Karol Chodkiewicz

Epoka pierwszej połowy XVII wieku zaznaczyła się w dziejach Polski szczególnie znaczną liczbą znakomitych wodzów. Jakgdyby chcąc naród zaprawić do boju i dać mu dobrą szkołę wojenną, wobec zbliżającego się „potopu“, los zsyła Rzeczypospolitej wybitnych i ofiarnych obrońców granic, co narodowi przykładem świecą, jak za cenę osobistych poświęceń zapewnić Rzeczypospolitej spokój na granicach i mocarstwowe stanowisko w Europie.

Jednym z takich właśnie wodzów, nietylko wojskowych, ale przede wszystkim duchowych, był Jan Karol Chodkiewicz, hetman wielki litewski i wojewoda wileński.

Urodzony w r. 1560; gdy podrósł, kształcił się w Akademii Wileńskiej, poczem odbywał liczne podróże zagranicą. W roku 1600 walczył pod rozkazami Zamojskiego w wyprawie multańskiej, która przyniosła mu buławę polną litewską.

Tymczasem na północy Polski zbierają się chmury.

Król Zygmunt III wplątał Polskę w niepotrzebną wojnę ze Szwecją, Polska nie miała tu nic do wygrania, a jedynie tylko Zygmunt, który chciał dla siebie wygrać koronę szwedzką.

Nic też dziwnego, że Rzeczpospolita nie chciała tej wojny, a sejm odmówił królowi poparcia.

Jednak Zygmunt nie dał za wygraną. Zręcznym posunięciem sprawił, że Szwedzi pierwsi wkroczyli do polskich Inflant.

Teraz Rzeczpospolita była zaczepiona. Musiała się bronić.

Więc wystawiono dość liczne wojsko. Sam król pociągnął w pole. Na czele wojska stanął kanclerz Jan Zamojski i odniósł kilka zwycięstw.

Niedługo jednak trwały te piękne początki. Brakło środków, żołd nie nadchodził, niepłatny żołnierz wymykał się z szeregów i łupił na własną rękę. Sędziwy zasłużony kanclerz Zamojski zapadł na zdrowiu i musiał odjechać. Trzeba było znaleźć nowego wodza, do prowadzenia dalszej wojny z Inflantami.

Było to w roku 1602. Po wyjeździe Zamojskiego, Chodkiewicz obejmuje gubernatorstwo Inflant i dowództwo nad wynędziałym, niepłatnym i buntującym się wojskiem. Mimo to rozpoczyna energiczną obronę Inflant przed zalewem szwedzkim.

Objął dowództwo i... pozostał sam na placu boju. Ostatnie rotty konne właśnie opuszczały obóz, aby udać się na poszukiwanie chleba. Z takim trudem wystawiona armia — przestała istnieć.

Niewiele już pozostało, bo tylko jedna nadzieja,

---

skiego ruchu socjalistycznego w zaborze pruskim, któremu Liebknecht patronował, broniąc go przeciwko wystąpieniom niechętnych. Wiernego sojusznika polskie dążenia niepodległościowe miały w osobie Liebknechta zwłaszcza, kiedy chodziło o zwalczanie agitacji antypolskiej Róży Luxemburg.

Centralizacja korzystała z każdej sposobności, ażeby propagować hasło niepodległości Polski i walki rewolucyjnej z Rosją wśród szerokich kół Międzynarodówki. Tak np. w 1896 r., w rocznicę stracenia w Warszawie 4-ch członków „Proletariatu“, Centralizacja zorganizowała bardzo szeroką akcję, do której wciągnięci zostali socjaliści wszystkich narodowości. W tym celu został wydany specjalny numer „Biuletynu“, rozpowszechniony bardzo szeroko, a poświęcony żałobnej rocznicy. Na podstawie tego numeru cała prasa socjalistyczna Zachodu Europy i Ameryki umieściła artykuły, poświęcone ruchowi polskiemu, a wypowiadające sympatię jego walce. Dla uczczenia dziesięciolecia męczeństwa wodzów „Proletariatu“ odbyły się specjalne zgromadzenia publiczne w Londynie, w Leodjum, w Gandawie, w Brukseli, w Paryżu, w Zurychu, w Buffalo, w Nowym Yorku, w Filadelfji, w Chicago i w innych miastach Stanów Zjednoczonych. Na zgromadzeniach przemawiali najwybitniejsi przywódcy ruchu — w Anglii: Herbert Bur-

rows, Henry Quelch, Tomasz Mann, Eleonora Marx-Aveling, dr. Ed. Aveling, w imieniu socjalistów niemieckich — Edward Bernstein i Fr. Lessner, w imieniu robotników żydowskich — M. Beer; w Belgii — Octave Sully, Van Beveren, Anseele, Elbers; we Francji — Gerault Richard, Ed. Vaillant, Aleksander Zévaés, Paulina Mink, Sicaud; w Szwajcarii — Herman Greulich, Jerzy Plechanow i t. d. Na zgromadzeniach tych odczytywano listy nieobecnych wybitnych wodzów socjalizmu i uchwalano odpowiednie rezolucje. Tak, na wielkim meetingu londyńskim, uchwalono następującą rezolucję: „Zważywszy, że ujarzmienie jednego narodu przez drugi leżeć może w interesach tylko kapitalistów i despotów, dla ludu zaś pracującego zarówno narodowości podbitej, jak i zaborczej jednakowo jest zgubne; że zwłaszcza carat rosyjski, czerpiący swe siły wewnętrzne i znaczenie zewnętrzne z podbicia i rozbioru Polski, jest stałą groźbą dla rozwoju międzynarodowego ruchu robotniczego; Zgromadzenie oświadcza,

„iż niepodległość Polski jest żądaniem politycznym, również koniecznym dla całego międzynarodowego ruchu robotniczego, jak dla samego proletariatu polskiego“. Rezolucja ta była identyczna z wnioskiem polskim, przedłożonym socjalistycznemu kongresowi międzynarodowemu w Londynie w roku 1896“.

d. c. n.

że mający się niedługo zebrać sejm obmyśli przecież jakiś ratunek.

Ale zapasów już się wyczerpał. Daleko, gdzieś w Inflantach prowadzona wojna — nie interesowała nikogo. I choć od wygranej wojny zależało bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, szlachta nie chciała ani na nią iść, ani dać na nią pieniędzy.

Na dalekich rubieżach, stał na straży honoru i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej samotny człowiek, który na swe barki wziął olbrzymi ciężar losów całego państwa i który postanowił państwa bronić — mimo wszystko.

Ściągając poczty prywatne od możnych panów litewskich, zebrał wkrótce około 4.000 ludzi i ruszył z nimi na szwedzką potęgę, a drogę swą znańczył zwycięstwami, które były wprost nieprawdopodobne i niewiarogodne.

A więc najpierw zdobył Dorpat wiosną 1603 roku i rozbił wojsko szwedzkie, które szło temu miastu na pomoc. Podpłynawszy rzeką, wpadł do miasta Narwy, wysiekł jego załogę i porwał dowódcę. Stoczył zwycięską bitwę pod Rewlem, gdzie padło półtora tysiąca Szwedów.

Pochód Szwedów był powstrzymany, Inflanty ostały się w rękach polskich.

Nadeszła jednak mroźna zima 1604 roku. Chodkiewicz musiał utrzymywać wojsko własnymi sposobami, rujnując coraz więcej i tak nadwątlony majątek. Lecz nawet największy majątek prywatny nie mógł długo na to wystarczyć.

Stał więc hetman do króla rozpaczliwe listy, przedstawiając groźne położenie, w jakimby się Rzeczpospolita znalazła, gdyby wojsko rozeszło się do domów.

— Przyrzekasz nam wasza Królewska Mość na święta pieniądze — zapóźno będą. Pierwej pomrzemy od głodu. I teraz konie swe jedzą. Skryłem się... żeby nie patrzeć na ich łzy, na ich rozpacz. Wasza Królewska Mość zapomniałeś o nas zupełnie. Wejść do jakiego zamku i tam niech zginę. Zastawiam Berzony, gotów jestem zastawić i majątność całą, ale gdzie teraz pieniądze dostanę?..."

Ale na listy odpowiadano głuchą ciszą.

Więc sam dalej szukał pieniędzy, pożyczął, a opłaciwszy najkonieczniejsze potrzeby ruszył po dalsze triumfy.

Wkrótce radosne wieści o nowych zwycięstwach przybyły do stolicy: generał Lindersen poniósł klęskę, generał Erichson był rozбитym, a z jego 7.000 Szwedów — 3.000 pozostało na placu.

Inflanty były wolne, ale wojna nie była jeszcze skończona: Szwedzi zbierali nowe siły.

Była to rzecz zdumiewająca. Po jednej stronie mała Szwecja, która mimo olbrzymie straty, mimo

klęski potrafiła zdobywać się na coraz to nowe wysiłki. Po drugiej wielka Rzeczpospolita gdzie szlachta, siedząc bezpiecznie na swoich zagonach, patrzyła obojętnie na bohaterskie zmagania garstki rycerzy; gdzie głodni i obdarcy żołnierze byli ciągle zwodzeni i karmieni obietnicami; gdzie wódz miał przeciw sobie nie tylko wroga ale nędzę, głód, obojętność i buntujące się z głodu wojsko.

Latem 1605 roku wojska szwedzkie pod znakomitym wodzem swym królem Karolem Sudermanem w liczbie 14.000 znowu wkroczyły do Inflant i obległy Rygę. Ze swemi trzema i pół tysiącami ruszył Chodkiewicz na odsiecz miastu. Król szwedzki Karol musiał oblężenie przerwać. Pod Kircholmem spotkały się obydwie wojska. Było to 27 września 1605 roku.

Karol ustawił pośrodku całą swą piechotę — 11.000 ludzi, 3.000 rajtarów stanęło na obu skrzydłach i w obwodzie, za środkiem.

Chodkiewicz inaczej podzielił swe wojsko. W środku, naprzeciwko szwedzkiej piechoty, stanęło tylko 600 koni na prawym skrzydle 650, zato na lewym aż 1250. Cała piechota i 200 koni pozostały w obwodzie.

Samo ugrupowanie mówi, jaki był plan hetmana. Masą jazdy, ustawioną na lewym skrzydle, chciał zniszczyć rajtary rzucić się na bok piechoty i tu odnieść zwycięstwo. Dlatego też, choć w środku i na prawym skrzydle był słabszy, na lewym miał przewagę sił nad jazdą przeciwnika.

Najpierw ruszył z miejsca w środek. Z okrzykiem „Jezus! Marja!” runęło 600 jeźdźców na 11.000 piechoty. Natrafiwszy na nastawione piki, roznieśli je cięciami szabel, obalili pędem rozhukanych koni, rwali w strzępy piechotę, darli się naprzód, siejąc śmierć i spustoszenie.

Jednocześnie toczyła się bitwa na skrzydłach.

Na lewym skrzydle husarja, jak burza, w jednej chwili rozniosła rajtarów i wraz z nimi wpadła na szwedzką piechotę, niosąc zamieszanie i popłoch. Część rzuciła się na tyły, by zagrozić drogę uciekającym.

Jedynie na skrzydle prawym wahało się zwycięstwo. Karol nadbiegł tu ze swym odwodem, a więc 650 husarzy spotkało się z 2.200 rajtarami. Ramiona omdlewały od strasznych uderzeń, pod którymi, jak drzewa walili się rajtarzy. Już zaczęli słabnąć, a Karol wyczerpał wszystkie swe siły.

Na to właśnie czekał hetman, by rzucić swój odwód. 200 jeźdźców skrzydlatych wypadło na równinę i zatoczywszy łuk, spadło na skrzydło rajtarów. Tego już nie wytrzymali Szwedzi. Porwani straszliwą siłą, gnani i cięci, wpadli na własnych, walczących piechurów i przeszli po nich, jak huczająca lawina, gniojąc i miażdżąc, wgniatając w ziemię kopytami koni.

Przerażona piechota w śmiertelnym lęku rozpierzchnęła się na wszystkie strony, szukając już tylko w ucieczce ratunku.

Bitwa była skończona. Teraz rozpoczął się okrutny pościg i rzeź.

Takiego czynu dokonał hetman, który w przeddzień zwycięstwa był u progu rozpaczki, z wojskiem, które wczoraj jeszcze, z głodu myślało o buncie.

A sława tego zwycięstwa obiegnęła całą Europę i głośnie echem odbiła się po świecie. Więc winszowali Chodkiewiczowi cesarz austriacki, król angielski, błogosławieństwo przysłał mu papież, podziw swój wyrażali sułtan turecki i szach perski.

Bo bitwa ta była istotnie dziełem mistrza sztuki wojennej. Zwyciężyła tu nie tylko dzielność rycerzy i żelazna wola hetmana, która przetrwała wszystko, ale zwyciężył i jego genjusz.

Bitwę kircholmską można porównać z najlepszymi bitwami Napoleona. Mamy tu wszystkie zasady, które tak umiejętnie Napoleon stosował. A więc związanie przeciwnika na całym froncie, uzyskanie przewagi na jednym skrzydle, złamanie tego skrzydła, uderzenie na tyły i przerwanie drogi po której ma się cofać przeciwnik. Tylko, że nawet Napoleon nie walczył z tak olbrzymią przewagą.

Po bitwie kircholmskiej, kiedy można było od Szwedów żądać wszystkiego, nie uczyniono nic, aby wykorzystać zwycięstwo.

Opuszczone wojsko z trudem przetrwało zimę, żywiąc się własnym przemysłem. Lecz już na wiosnę zawiązało konfederację i ruszyło na Brześć, pustosząc okolice i gwałtem wynagradzając sobie dni trudów i głodu.

Wkrótce wojna rozgorzała na nowo. Szwedzi znów wystawili 12.000 wojska, gdy Chodkiewicz miał go tylko 3.000. Wojsko to zawdzięczał pomocy kilku możnych panów, a opłacał je sam, sprzedawszy swoje srebro i zapożyczając się coraz bardziej.

Rozpoczął nader uciążliwą kampanję z czterokrotnie silniejszym nieprzyjacielem. Mimo to rozbija pod Rygą generała Mansfelda i zmusza go do zaniechania oblężenia miasta. Chodkiewicz chciał już wkroczyć do szwedzkiej Estonji, gdy znów zawisła nad nim groza buntu niepłatnego wojska.

Na wszystkie prośby król nie szczędził pochwał, sypał obietnicami, ale zajęty wojną z Moskwą, przestał zupełnie myśleć o Inflantach.

Ból gniew, żal, szarpały duszę hetmana. Z własnym rycerstwem staczać musiał zaciekle walki. Zdołał je wreszcie uprosić o 2 tygodnie cierpliwości.

Opanowawszy swe wojsko, do nowych poprowadził go zwycięstw. Znów rozbił armję szwedzką. Teraz Szwedzi zaprzestali wojny. Nastąpiło zawieszenie broni, które przetrwało lat osiem.

Niesłychane zwycięstwa Chodkiewicza rozślawiły jego imię i postawiły go w rzędzie największych wodzów świata. Niezwalczony nigdy, walczył zawsze z niewiarogodną przewagą. Gromił w otwartym polu, jazdą zdobywał twierdze, a piechotą flotę na morzu. Nie było siły, któraby mogła oprzeć się talentowi hetmana i rozpędowi jego huraganowej jazdy.

A wyniki tych zwycięstw? Prawie żadne!

Gdyby ten wódz miał odpowiednie siły to zdobyłby całą Szwecję! Ta niezliczona ilość zwycięstw wystarczyłaby do tego, aby podbić całą Europę! Tymczasem zdołał zaledwie doprowadzić do mizernego zawieszenia broni. Zmarnowały się cała lata nadludzkich wysiłków hetmana.

Jesienią 1611 obejmuje główne dowództwo w wojnie z Moskwą. Parokrotnie docierał już do stolicy, lecz dowodząc wojskiem niepłatnym, niekarnym i skorem do buntów — nie mógł zdobyć Moskwy.

Już u schyłku życia jeszcze raz w roku 1621 — powołano sędziwego hetmana, by ratował zagrożoną Rzeczpospolitą. A stary hetman, sterany i chory, nie zawahał się, by ostatnie dni żywota oddać ojczyźnie.

Po klęsce cecorskiej sejm pojął, że trzeba nadzwyczajnych wysiłków i ofiar, aby kraj ratować od zagłady tureckiej. Więc uchwalono pobór na 60.000 wojska, a choć zaledwie 34.000 zdołano wystawić, to jednak i tak wraz z Kozakami, którzy stanęli przy Polsce, zebrała się siła potężna.

Chodkiewicz stanął na czele i powiodł wojsko pod Chocim.

Chciał hetman starym zwyczajem stoczyć walną bitwę i w niej rozstrzygnąć odrazu losy wojny. Ale rada wojenna, której musiał ulec, nie zgodziła się na to. Obawiano się ryzyka.

Więc dzień po dniu upływał w zażartych bojach z nieprzeliczoną ciałą wrogów. A było ich ponad 200.000.

Lecz nie doczekał się hetman chwili zwycięstwa. Gdy ze steranego ciała życie poczęło już uchodzić, odwieziono Chodkiewicza do zamku chocimskiego. A on, czując zbliżającą się śmierć, złożył buławę hetmańską w ręce Stanisława Lubomirskiego.

Wszyscy zrozumieli, że stary hetman już nie powróci do obozu. Więc żal okropny ścisnął stwardniałe w wojnie serca. Łzy popłynęły po twarzach, zornych trudami i czerniałych od wiatrów.

Duch wielkiego hetmana pozostał w obozie chocimskim. W Polsce pozostała pamięć o jego wielkich czynach. Lecz większa stokroć niż czyny — była spartańska prostota tego obrońcy granic Rzeczypospolitej, który swym osobistym przykładem starał się uczyć, jak służyć Państwu.

H. G.

## Hetman Stanisław Żółkiewski

Gdy chciwość i buta shardziałej magnaterji zaczyna w rządach Rzeczypospolitej iść o lepsze z ciemnotą i anarchją drobnoszlachecką, gotując krajowi najciemniejszą przyszłość — na arenie dziejów polskich staje człowiek, któremu sądzone było stać się najwznioślejszym bohaterem swej epoki i całych dziejów polskich.

Gdy tchórzostwo bezprzykładne tych, co się mienili być „Rzeczypospolitej tarczą i puklerzem” — każało im rzucać wodza i ratować się haniebną ucieczką — wódz ten, 73-letni starzec, widząc, że wszystko stracone, zrzuca z siebie hetmańskie szaty i przebrawszy się w ubiór prostego żołnierza, by nie być poznany przez wroga, staje na czele gromadki wiernych przyjaciół i żołnierzy i ginie wraz z nimi z bronią w ręku, życiem swem stwierdzając, jakim być winien prawy obrońca granic Rzeczypospolitej!

\* \* \*

Stanisław Żółkiewski urodził się na Rusi Czerwonej w roku 1547, ojciec jego, Stanisław, był wojewodą ruskim i dawnym przyjacielem Zamojskiego, co synowi ułatwiło pierwsze kroki w świecie. Już jako trzydziestoletni mężczyzna, Żółkiewski na wstępie panowania Batorego odznaczył się podczas oblężenia Gdańska, jako porucznik w chorągwi Zamojskiego. Potem bierze udział we wszystkich wojnach Batorego, usilnie się przytem kształcąc, to też z osobą jego Batory coraz więcej się liczy, jako kandydatem na stanowisko hetmana polnego. Wkrótce potem Żółkiewski otrzymuje litewską buławę polną, tak, iż Zygmunt III zastaje go już na tym urzędzie. Jednakże ze zmianą monarchy zmienił się również stosunek Żółkiewskiego do dworu. Z Zygmuntem III, który wolał pochlebców i dworaków, zgodzić się Żółkiewski nie umiał. Wraca więc w swe strony rodzinne i tam całą duszą oddaje się swym zajęciom hetmana polnego, jako kierownika całej ówczesnej służby ochrony granic. Zbliża się do swych wojsk kozackich, zarządza częste ćwiczenia, w których sam bierze udział, dokonywa inspekcji oddziałów i zamków pogranicznych. Przez całe swe życie Żółkiewski był człowiekiem, jakbyśmy dziś powiedzieli, zrównoważonym i kochającym pokój. To też wstrętem przejmowały go awanturnicze, a często i rabunkowe wyprawy magnatów polskich na Wołoszczyznę, Krym i Turcję, które pociągały za sobą potem zemstę groźnego sułtana, najazdy i pożogę nieszczęśliwego Podola i Rusi.

Nadszedł czas, gdy Polska była w ciągłych tarapatkach. Wojna szła za wojną. A hetman pełnił swój twardy obowiązek i pilnie strzegł granic Rzeczypospolitej.

Jeszcze nie wypoczął po poprzednich wyprawach, a już król słał mu nowy rozkaz, by ruszał przeciw Ko-

zacom, którzy tatarskim sposobem obracali w popioły i zgłiszcza Ukrainę, Podole, Wołyń i aż na Litwę się zapuszczali. Lud ruski, wojowniczy, zapalny, a wrogi, garnał się chętnie pod rozkazy okrutnych watażków i szedł z nimi na krwawy rabunek. Siły kozackie rosły.

W to morze buntu i płomieni wkroczył Żółkiewski zaledwie z tysiącem jazdy. Mając serce również szlachetne, jak mężne, chciał najpierw zbuntowane gromady uspokoić dobrocią i perswazją. Skoro wyczerpał środki pokojowe, wtedy dopiero dobył miecza.

Położenie jego było ciężkie. Posiłki nie dochodziły, pieniędzy również nie przysyłano. Żółkiewski z własnej szkatuły pokrywał koszty wyprawy.

Hetman, jakkolwiek dotąd łaskawy, w bitwie był straszny. Każde jego spotkanie z Kozakami znaczyło dla nich porażkę i śmierć, choć w każdej bitwie siły ich kilkakroć przerastały słabą garstką Polaków.

Płynąc, jak huragan przez szerokie stopy, łamał przed sobą wszystko, co mu na drodze stało. Tak zniósł Nalewajkę i Sawuła, rozbił Łobodę i Podwysociego. Kozactwo poczęło pierzchać na samą wieść o jego zbliżeniu.

Bunt zgasł, jak ognisko zalane wodą.

Po szerokiej Polsce rozeszła się radosnem echem wieść o świetnych zwycięstwach i rozślawiła odtąd imię Żółkiewskiego.

Wkrótce czekała Żółkiewskiego nowa wojna, choć ta nie przyniosła mu chwały: była to bowiem wojna domowa, t. zw. rokosz Zebrzydowskiego.

Szlachta, niezadowolona z polityki króla, podniosła rokosz i wypowiedziała królowi posłuszeństwo. Wiele w tem było racji, wiele jednak osobistej, prywatnej ambicji. Na tle tych smutnych wypadków zajaśniała czysta, szlachetna dusza Żółkiewskiego.

I on również widział błędy króla i mógł mieć do niego żal, że za trudy i zasługi został pominięty w nagrodach, ale stał niezłomnie na stanowisku, żeby o wszystkim „w zgodzie, w miłości braterskiej się radziło i umawiało”.

Ale niełatwa to była sprawa. Z podnieconym tłumem, ani zaciętrzewionymi w gniewie przywódcami, niepodobna było się porozumieć. Wojna domowa stała się nieunikniona.

Kiedy już trupy bratnie zasłały pobojuwisko, kiedy król, przy pomocy Żółkiewskiego zwyciężył, ten wszystkie siły zwrócił na to, aby zapamiętałego w gniewie króla z przeciwnikami pojednać, pokój na nowo sprowadzić i siły Polski skierować ku innym zadaniom.

A czekały na nią wielkie, bardzo trudne zadania.

W sąsiednim carstwie panowało niesłychane zamieszanie. Carowie i bojarowie, mordując się nazwajem, kolejno dochodzili do władzy. Moskwa była widownią ciągłych zaburzeń i przewrotów.

Król sądził, że w tych warunkach zdobycie carstwa będzie łatwe. Szlachta i senatorowie byli również za wojną. Król chciał zdobywać najpierw Smoleńsk, o którym myślał, że łatwo się podda, a potem pragnął ruszyć na Moskwę.

Tylko Żółkiewski widział trudności, o których nie pamiętano. Widział wojsko, nie przygotowane do wojny zupełnie. Wiedział, że Smoleńsk jest twierdzą silną i że zdobywanie go zatrzyma na długo całą wyprawę. Radził więc królowi ominąć to miasto i iść wprost na Moskwę. Ale król upierał się przy swych pierwotnych zamiarach.

Działy tu intrygi potężnych rodów ówczesnych Potockich i Mniszków, którzy zamierzali przy pomocy króla sięgnąć po koronę moskiewską.

Nakoniec ruszono pod Smoleńsk.

Oblężenie szło opornie i trwało długo, bo blisko dwa lata. Tymczasem car zebrał swe siły i pchnął je na odsiecz Smoleńska, pod wodzą Dymitra Szujskiego.

Nie było nikogo, kto by chciał ruszyć przeciw Dymitrowi. Jeden Żółkiewski podjął się tego. Podjął się i dokonał niesłychanego czynu. Wyszedł z pod Smoleńska z trzema tysiącami. W drodze urosła ta garstka do ośmiu tysięcy.

Moskiewska straż przednia pod wodzą Wałujewa, doszła do Carowego Zajmiszcza i tam się umocniła. Żółkiewski nie mogąc jej rozbić przystąpił do oblężenia.

W tym czasie nadeszła wieść, że sam Dymitr Szujski nadciąga, wiodąc 50.000 wojska i 20.000 zbrojnych chłopów.

Położenie stało się groźne. Z jednej strony niepokonany Wałujew, z drugiej Dymitr z tak potężną siłą. Czyż można jeszcze wierzyć w ocalenie? O odwrocie nie było mowy. Pozostała nadzieja w męstwie i w Bogu!

Wieczorem o zmroku z 4.000 ludzi, w największej ciszy, wyruszył hetman z obozu. Reszta prowadziła dalej oblężenie.

Całą noc ciągnęło rycerstwo przez dzikie nieprzystępne lasy. Ciągnęło bez odpoczynku: hetman gnał. O świtaniu ta garść strudzonych już rycerzy wyłoniła się z lasów. Przed nimi widniał Kłuszyn i ogromna, pogrążona w spokojnym śnie, moskiewska armja.

Jakże tu uderzyć na śpiących? Więc hetman, sprawiwszy szyki, kazał podpalić wieś i zagrać na trąbach pobudkę. Zakotłował się obóz, jak olbrzymi rój. Teraz dopiero, wobec tego mrowia nieprzyjaciół, zrozumiano, na jak straszny czyn porwał się pan hetman.

— Cma niezliczona, aże strach było spojrzeć — powiada ten, który był w owej wyprawie.

Hetman dał znak i chorągwie ruszyły do boju. Choć giną w ciżbie nieprzyjaciół, choć w kurzawie i dymie ledwo je widać — pędzą, tratuja i tną. Rozsypani, po kilkakroć zbierają się na nowo i po kilkakroć ruszają do ataku. Ramiona mdleją od ciosów.

Ale już wał moskiewskich trupów rośnie, paniczny strach ogarnia nieprzyjaciół, przerażony Dymitr dosiada konia, aby w ucieczce szukać ratunku. Zwycięstwo było zupełne. 12.000 trupów moskiewskich zasłało pola Kłuszyna.

Zaledwie skończyła się bitwa, już hetman wracał zpowrotem pod Carowe Zajmiszcze, mając za sobą 30 kilometrów drogi i trud okrutnej bitwy!

O zachodzie słońca tego dnia stanął znów w obozie. Wałujew poddał się natychmiast.

To są czyny, jakie zna tylko historia Polski.

Żółkiewski w tej bitwie przerasta największych wodzów świata. Znajdując się w położeniu środkowym, bije kolejno dwóch rozdzielonych przeciwników. Jest to właśnie ten manewr, który w 200 lat potem rozśławił po świecie imię Napoleona.

Hetman natychmiast po bitwie kłuszyńskiej rusza dalej. Wiedział, jakie wrażenie wywoła wieść o zwycięstwie, która szerokim echem popłynęła przez rozległe carstwo i zachwiała tronem. Więc szedł na podbój samej stolicy — Moskwy.

Kiedy Żółkiewski zbliżał się pod bramy Moskwy, bojarowie wysłali posłów z zapytaniem, czy niesie pokój, czy wojnę. Żółkiewski w tym momencie przejawiał rozum polityka. Oświadczył, że niesie pokój i jako sprzymierzeniec wkroczył do Moskwy. Wojsko, trzymane żelazną ręką, zachowywało się tak, że wkrótce zyskało sobie przyjaźń mieszczan.

Sami bojarowie oddali swego cara w ręce hetmana i czekali, by na ich tronie zasiadł król polski. Miał nim być syn Zygmunta — Władysław. Żółkiewski odebrał już od mieszkańców przysięgę, i słał do Zygmunta niecierpliwie posła za posłem. Ale Zygmunt, stojąc wciąż pod Smoleńskiem, zwłóczył, nie przysyłał syna, chciał moskiewski tron dla siebie zatrzymać, chciał sam, jako zwycięzca, po zdobyciu Smoleńska, wkroczyć do Moskwy. Na Zygmunta jednak bojarowie nie chcieli się zgodzić. Sprawa się wlokła. Wielkie plany Batorego bładły coraz bardziej i wkrótce miały się już rozwiać na zawsze.

Niedługo cieszył się pan hetman spokojnem życiem w rodzinnej Żółkwi. Sławny, a sędziwy już wódz, pod koniec życia miał doznać kilku porażek. Wkrótce miała się dla niego zacząć ciernista droga, na której zbierał tylko niewdzięczność, bolesne potwarze i napaści.

Ten sławny wódz bohater z pod Kłuszyna, spotkał się na sejmach z zarzutem tchórzostwa, nieudolności. Mężowi, który całe swe życie i siły złożył u nóg ojczyźnie, zarzucono nieomal zdradę. Więc musiał się na sejmach tłumaczyć, on, który powinien w chwale dokonać żywota. Zapomniano mu wszystkich zasług dlatego, że nie wygrał bitwy, do której nie dano mu sił, w której panowie przyprowadziwszy swoje hufce, nie chcieli uznać jego władzy i zgodzić się na jego rozka-



zy. Taka samowola była przecież wówczas rzeczą zwyczajną.

Znękany hetman odczuł głęboko swą niedolę. Po takiej zapłacie za trudy całego życia, chciał już usunąć się w zacisze domowe. Ale los bohatera jeszcze się nie dokonał. Jeszcze raz miał złożyć dla kraju ofiarę, tym razem ofiarę swego życia.

Gdy znów nawała turecka szła ku granicom Rzeczypospolitej, któż miał jej bronić? Hetman zapomniał swych krzywd i obelg i stanął na czele wojska. Ale cóż to było za wojsko! Walcząc z najpotężniejszym wówczas na świecie mocarstwem, Polska zdobyła się za ledwo na wystawienie 8.000 zbrojnych ludzi. Wprawdzie na ich czele stał jeden z najznakomitszych wodzów, ale wojsko straciło już dawną tężyznę.

Żółkiewski pociągnął na ostatnią w swem życiu wyprawę. Szedł ku Cecorze, gdzie kazał natychmiast sypać szańce.

Już o świtaniu drugiego dnia, w blasku wschodzącego słońca, ujrzeli Polacy niezmierzone zastępy ciągnących Turków i szeroko rozlane morze Tatarów. Było tego 100.000. Zaczęły się krwawe, rozpaczliwe pasy.

Trudno było się zmagać z tak olbrzymią przewagą. Po nocach, w łunie obozowych ognisk, rozlegały się jęki rannych i ostatnie westchnienia konających towarzyszy.

W piersi wstępowało zwątpienie, groza śmierci powolnej zaglądała w oczy. A starszyzna zaczęła oskarżać hetmana, zaczęła radzić, szerzyć zamieszanie i niepokój. Zaczęły się pojawiać wątle jeszcze płomienie buntu.

Aż stała się rzecz straszna: oto rotmistrze z chorągwiami swemi nocą opuścili obóz i bezładnie, naoslep poczęli uciekać. Hetman czynił nadaremne wysiłki. Płazując szablą, zawracał uciekających. Ale nikt już nie słuchał wodza. Jakiś szal ogarnął wszystkich, wszczął się niesłychany tumult i wrzawa.

Niedaleko jednak uciekł tłum zbiegów. Pędzących naoslep wyrzynali Tatarzy. Widząc to reszta, kupami zaczęła wracać do obozu. Tutaj szerzył się już pożar, wzniecony rękami pacholców.

Siła wojska znikła bezpowrotnie, hart i karność pękły, wojsko stało się bezładną kupą rozbitków.

Cóż jeszcze można było zrobić? Hetman postanowił się cofnąć.

Więc zestawiono obóz z wozów, powiązanych łańcuchami i ta ruchoma twierdza ruszyła z wolna ku granicom Rzeczypospolitej.

Szli, otoczeni zewsząd nieprzejrzany tłumem pogan, znużeni, wyczerpani, bez odpoczynków, bez wiary w to, że dojdą. Każda noc stawała się straszniejsza. Szli w łunach płonących wsi, w bezustannym huku tureckiej artylerji, wśród przeraźliwego wrzasku tłuszczy tatarskiej.

Gorące powietrze paliło płuca, głód skręcał kiszki, pragnienie odbierało resztki sił.

Była późna godzina, 6 października 1620 roku. Noc spłynęła już na ziemię i chłodziła uznojone czoła. Jakiś szmer zaczął przebiegać obóz. Rósł, potężniał, aż nagle wybuchł bunt z niepowstrzymaną siłą. Pękła wszelka karność, podniosły się klątwy, wojsko zamieniło się w uzbrojoną kupę, ogarniętą szalonym, panicznym strachem. Wszczął się tumult, rzucono się do wozów, aby uciekać na nich bez celu, w czarną noc.

Żadna siła nie mogła już opanować tego obłąkania i zapobiec katastrofie.

Hetman zsiadł z konia i przebił go szablą, by pokazać, że pozostaje z resztką wiernych druhów. Lecz tych zostało tylko kilkunastu.

Podano mu innego konia, by ratował życie.

— Nie wsiadę — rzekł — miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nademną wyrok swój, który uczynił, kończy.

Tak zginął ten wielki wódz i wielki obywatel, na progu Rzeczypospolitej, na straży jej granic.

Gdy trupa jego Turcy podnieśli — pełno miał ran na ciele. Głowę starego hetmana odcięto i w triumfie poniesiono do Iskandera-Paszy, który ją kazał zatknąć na bramach Seraju, zwróconą twarzą do Polski, tej Polski, dla której żył i zginął.

G.

---

**PAMIĘTAJ, ŻE**

**KASA WZAJEMNEJ POMOCY  
ISTNIEJE DLA TWEGO DOBRA!**

**NALEŻENIE DO K. W. P.**

**JEST TWOIM OBOWIĄZKIEM**

---

# D J A M E N T Y

## Jak się znajduje, kradnie, przemycą

Kraj górzysty, o ziemi koloru czerwonego, żywo odcina się od metalicznej zieleności, wyblakłej od słońca.

Hen... daleko, w sercu Afryki przy końcu Konga Belgijskiego i Angoli — to ziemia djamentów. Z tej przyczyny, poszukiwania, oddzielone od siebie niedokładną granicą, muszą być prowadzone przez dwie narodowości. Jest to również źródłem dwojga polityki! Na północy Belgowie z „Djamentu“ gospodarują samodzielnie, bez pomocy obcych, eksploatując ziemię na różne sposoby. Tego rodzaju monopol jest kosztowny, ale pozwala na dokładną kontrolę i na ograniczenie, do minimum, kradzieży. Na południu Portugalczycy stosują metody swobodniejsze. Tereny nieograniczone, ruch osobowy nie kontrolowany, swobody handlowe. Pozwoliło to na stworzenie doskonałej organizacji złodziejskiej. Gubernator rejonu p. José Pompen da Gama Ochôa w Carwalho zaopatrzył mnie w specjalną, pokrytą pieczęciami przepustkę. Upoważnia mnie ona do kursowania po tajemniczych i kryjących skarby ziemiach. Po dwóch dniach podróży automobilem, po świetnych szosach, znalazłem się w Dundo, nowopowstałym mieście, siedzibie zarządu „Kompanji Djamentów“. Jest to miniaturowy Kimberley \*).

Pan S. T. K., Amerykanin, dyrektor kopalni, zapytał mnie:

— Życzy pan sobie obejrzeć nasze poszukiwania?

— No, chyba, po to jedynie tutaj przyjechałem.

— Nasza praca, jest naprawdę nieciekawa, o wiele ciekawszym jest to, jak nas okradają.

— Co, okradają panów? Pan wie o tem i znosi to tak cierpliwie i spokojnie?

— Wkrótce to wytłómaczę panu, ale to jest historia nieco skomplikowana. Chodźmy wpiery jednak zobaczyć, jak wydobywamy te kamyczki z ziemi, by je następnie wyeksportować do Europy.

Dwie godziny jazdy samochodowej. Tereny djamentodajne są obszerne.

Nie możecie wyobrazić sobie Czytelnicy z jakiego wstrętne błota wydobywane są te błyszczące kryształy.

Przewodnik mój poczęstował mnie angielskim papierosem, gdy wysiedliśmy w dolinie, prawie, że dosłownie przewróconej do góry nogami. Ziemia poryta głęboko oslepia białością swą oczy. Kilka maszyn sza-

rych od błota — drga, wirują tam płaskie kadzie. W jednym z rowów kopia Murzyni.

— Złoza djamentów są pochodzenia alluwjalnego. Piasek djamentowy jest zazwyczaj wydobywany szpadłami, a następnie rzucający na wirujące płaszczyzny w maszynach i poddany magnetycznym rozdzielaczom. Ma to na celu odrzucenie kwarcu i zwykłych kamieni, a zatrzymanie takich, których większa waga pozwala przypuszczać o zawartości djamentów.

— A co panowie robią po tej pierwszej selekcji?

— Odnosimy to w zamkniętych skrzyniach do centrali, gdzie młodzi chłopcy o wprawnych oczach przemycają te kamienie ręcznie w zbiornikach wody. Otoczeni są oni zewsząd płotami z drutów kolczastych. Dopłukane w ten sposób djamenty są klasyfikowane stosownie do wielkości i odsyłane, pod strażą i w mocnych skrzyniach na targi londyńskie i do wielkich szlifierni w Amsterdamie i Antwerpii.

Zobaczyłem więc jak się znajduje i wydobywa djamenty. Jest to robota nie wyszukana. Ale, jak mnie poinformował mój gospodarz, te djamenty podlegają kradzieżom. Jak to się dzieje?

Coprawda pola djamentowe tutejsze nie są odgradzone płotami i naelektryzowanymi drutami, tak jak ma to miejsce w Afryce Południowej i czarni pracownicy nie są zamknięci na tych terenach, bez prawa oddalania się na przeciąg kilku miesięcy. Po przepłukaniu jednak, murzyni są rozbierani do naga i rewidowani. Byłem obecny przy jednej takiej rewizji i stwierdzam, że rewident szukał sumiennie, czy młodzi robotnicy nie ukrywają, w najgłębszych i najbardziej intymnych miejscach, chociażby najmniejszych kamieni. Przy transportach, dokonywanych w asyście najbardziej zaufanych białych, mowy niema o kradzieży. Mimo tych środków ostrożności kamienie giną i giną, nieraz w znacznych ilościach.

Towarzystwo utrzymuje specjalną policję, której przedstawiciele opowiedzieli mi kilka ciekawych historii o sposobach obserwacji rozciąganej na kopalni, aż do sąsiednich kolonji, a nawet okrętach w portach Lisbony, Antwerpii, czy też Londynu. Detektywi natrafiają na twarde przeciwników, ponieważ złodzieje są również zorganizowani.

Tak, w kilku cyfrach przedstawia się statystyka. Jednego roku odebrano djamentów na sumę 50.000 funtów szterlingów (około miliona i pół złotych). W latach np. 1925, 1926 i 1927 odzyskało T-wo 8.155 karatów skradzionych djamentów. Mimo znacznych kosztów i odkrywania coraz to nowych pól djamentowych, co wywołuje niżkę cen „Diamang“ robi do-

\*) Szczegółowy opis stosunków w Kimberley, centrali djamentowej świata, znajdzie czytelnik w książeczce Michała Godlewskiego p. t. „Zielone granice“ (T-wo wyd. „Rój“, Warszawa, ul. Kredytowa 1).

tychczas znakomite interesy. Coby to było, gdyby go nie okradano.

— T-wo „Diamang” odzyskuje djamenty odkupując je od złodzieji, opowiadał mi p. L. jeden z dyrektorów:

— Odkupuje... bez pociągania sprzedawców do odpowiedzialności, toż to jest premjowanie kradzieży!

— Z początku też tak myślałem, ale to nic nie szkodzi. Właściwie to szkody Towarzystwu „Diamang” nie przynoszą kradzieże, ale konkurencja zniżkowa na rynkach europejskich. Żeby złodzieje ograniczali się do topienia djamentów w morzu lub ozdabiania nimi dekolotów żon lub kochanek, zło by nie było takie wielkie. Mają oni jednak odwagę sprzedawać swe łupy po niższych cenach, wywołując w ten sposób ogólną zniżkę i to jest podwójną stratą.

T-wo nie rezygnuje więc z odkupywania własnych wykopalisk. Poznają w ten sposób złodzieji, ale dla aresztowania ich brak im jest dowodów prawnych. Trzeba by oprawców łapać na gorącym uczynku, co jest zbyt trudne. Zna się paserów, ale jak rozpoznać, że kamienie pochodzą z kradzieży. Okazje takie są nieprawdopodobnie rzadkie. Próbowano rozmaitych sposobów odwiecznych: prowokacji, fałszywych pośredników, bez skutku jednak. Zresztą załatwienie polubowne jest skuteczniejsze i tańsze, dowodzi to o zsyndykalizowaniu złodzieji djamentów.

Kilka lat temu, jacyś osobnicy, w porcie kolonii portugalskiej sprzedawali djamenty całkiem jawnie i w dużej ilości. Zapytano się ich uprzejmie, ale i ciekawie:

— Skąd pochodzą te piękne kamienie?

— Z miejscowości Z... — tu wymieniono jakąś miejscowość o której nikt nie słyszał.

— Z Z...

— Tak, to są pola, bardzo odległe, odkryte przez nas po długich poszukiwaniach.

Przedstawiciel T-wa doszedł do przekonania, że będzie mógł rozszerzyć jego działalność, chwycił się więc fortelu, przynajmniej tak myślał.

— Ja nie wierzę, to są kradzione djamenty. Złożymy skargę...

— Skargę? No to i co z tego będzie? Trzeba posiadać dowody. Dlaczego pan nie wierzy w to, co mówimy?

— Trzeba się tam udać i zobaczyć.

— Zgoda. Pokażemy wam odkryte przez nas pola, ale wy płacicie kosztą wyprawy.

— Zrobione.

Towarzystwo organizuje wyprawę. Wysłała przewodników, specjalistów, zbiera informacje z dziedziny geograficznej, geologicznej i etnograficznej. Wyprawa przebywa w odległej pustynnej miejscowości przeszło trzy miesiące. Nic nie znajdują, co zresztą było do przewidzenia. Ponieważ T-wo „Diamang” nie mo-

gło stwierdzić pochodzenia sprzedawanych djamentów, nie miało możliwości zemścić się składając zameldowanie do prokuratora.

Djamenty jednak wciąż giną, ale ani policja, ani policja nie wie jaką drogą dostają się te djamenty do sprzedawców. Czy są ukryte zaraz po wydobyciu z ziemi? Wydaje się to wątpliwem. W jaki sposób Murzyni, kopacze mogli by odróżnić brudny kamień szlachetny od tysiąca innych zwykłych, dotychczas nieopłukanych. Może podczas płukania? Ale tam obserwacja jest bardzo staranna.

Podczas transportowania? Ale przecież skrzynie są plombowane, ważone i opieczętowane. Może czerpie się djamenty z nieznanych pól djamentowych, nocami, poza obrębem kopalni już znanych i czynnych. Ale do tego trzeba robotników, cały personel techniczny sprzętu, maszyn.

Trzeba zrezygnować i być okradanym, uznając, że złodzieje, biali czy czarni mają do swej dyspozycji tysiące sposobów. Należy pamiętać, że czupryny Murzynów, są kręcone i zbite, a trudno by było golić im wszystkim łby. Również ich żołądki i kiszki są odporne, i nie można za każdym razem zmuszać ich do łykania środków przeczyszczających, a następnie do „anahi”. Niektórzy mają wydrażone zęby, inni głębokie uszy.

Nie trzeba zapominać, że największy klejnot Koh-Y-Nor, ozdoba skarbcza króla Anglii, opuścił Indie, ukryty w schówku, najbardziej ciemnym i intymnym, jaki mógł znaleźć pewien Hindus w swej własnej... osobie.

Niejednokrotnie ukrycia najprostsze są najlepszymi: pewnego razu, znalazła policja djamenty wetknięte w pliki sklejonych razem gazet, wysyłanych jako druki. Przypuszczano jednak, że sposób ten nie jest wart doskonałego schowku, którym natura obdarzyła człowieka.

Zresztą czego się nie robi by syndykaty djamentowe nie były wyprowadzanymi w pole.

L. Merani.

---

**„Czaty” trzeba  
nie tylko „czytać”,**

**każdy strażnik powinien je prenumerować!**

---

# Pani z dwoma parasolami

(Opowiadanie z hiszpańsko-francuskiej granicy)

Zupełnie przypadkowo spotkałem w Paryżu mego starego przyjaciela Tolozana. Nie widziałem się z nim od czasu, kiedy porzucił służbę w urzędzie śledczym miasta Bordeaux, zadawalając się małą, ale za to całkiem zasłużoną emeryturką. Siedzieliśmy sobie w kawiarni „Pod gwiazdą”, obserwując przechodniów, zdążających z parasolami w rękach. Te rozpięte parasole musiały przywołać mu na myśl jakieś wspomnienie, gdyż nagle zapytał mnie:

— Co pomyślały pan o kimś, kto stale chodzi z dwoma parasolami?

— Z dwoma jednocześnie parasolami?

— Znałem kobietę, która to robiła...

Po wielu pytaniach i prośbach zgodził się opowiedzieć mi tę dziwną, sensacyjną historję z dziedziny przemytnictwa.

Miało to miejsce wkrótce po wycofaniu się jego ze służby śledczej. Wszystkie jego akta i sprawy jeszcze nie zlikwidowane przejął komisarz Freycinet, młody pupil i przyjaciel Tolozana.

Pewnego wieczoru, pod koniec lata, poprzedzającego zawieszenie broni odwiedził go Freycinet. Znacząco było po nim wielkie wzburzenie. Tolozan odciągnął go na bok i zapytał o troski i kłopoty.

— Prawdopodobnie wydała mnie ze służby — powtórzył Freycinet kilkakrotnie.

— No, no, tak źle nie będzie, młody przyjacielu. Opowiedz mi wszystko, ale dokładnie. Może ci coś niecoś w tej, prawdopodobnie zawiątej historii, poradzę.

— Otóż sprawa przedstawia się tak — zaczął Freycinet — przed niespełna dwoma miesiącami otrzymaliśmy z Centrali Służby Śledczej wiadomość, że przez granicę hiszpańską wymyka się z Francji w znacznej ilości złoto. Ta sprawa została mi zlecona i w tym celu udałem się do Irun, gdzie postąpiłem normalnie, jak się w podobnych razach postępuje.

Zrewidowałem wszelkie przesyłki i bagaże oraz parę osób, zatrzymałem kilku podejrzanych i podwoiłem posterunki graniczne w niektórych specjalnie ważnych punktach. Te środki nie dały jednak rezultatu. Nie mogliśmy natknąć się na ślad złotego strumienia, przelewającego się gdzieś ukradkiem. Przez trzy tygodnie, w dzień i w nocy, robiłem co było możliwe. Wtedy, przyszło pod moim adresem pierwsze ostrzeżenie od władz. Złoto przenikało granicę w dalszym ciągu. Ludzie z ministerstwa skarbu mają do takich spraw specjalnego nosa. Czuli doskonale, że złoto płynęło do Billar nieprzerwanym strumieniem monet. Trzy dni podrząd przepytalem dokładnie każdego podróżującego, w każdym pociągu. Każda paczka pod ręczną, walizka, czy też bagaż została przezemnie

przejrzana. Myszkowałem również w węglarkach i parowozach. Zbadałem maszynistów, palaczy, trażarzy i konduktorów. Bez skutku! W czternaście dni później zawezwał mnie komendant policji obiecując, że zalem coprawda, pociągnąć mnie do odpowiedzialności. Rząd był zdania, że złoto wywożone było z kraju nie kolejami, ale drogami. To jest położenie w jakim się obecnie znajduję, mój stary przyjacielu, dotychczas nic nie znalazłem.

Tolozan był przejęty, i postanowił dopomóc swemu młodszemu koledze z przyjaźni i dla dobra Francji. Chciał mu towarzyszyć do granicy, płacąc nawet osobiście za podróż by przyczynić się do wykrycia zagadkowej kontrabandy.

Naturalnie, że Freycinet był uszczęśliwiony z propozycji Tolozana i dziękował mu szczerze. W drodze na dworzec opowiedział mu jeszcze pewien szczegół z tej historii.

— Naturalnie, mówił on, miałem na oku różne podejrzane osobistości, zbyt często przekraczające granicę.

Wielu z nich poddałem krzyżowym pytaniom. Po większej części byli to zupełnie bogu ducha winni drobni handlarze, akwizytorzy, podróżujący, ale między nimi pewna stara kobieta wydała mi się cośniewą podejrzaną. Mniej więcej dwa razy na tydzień wyjeżdżała ona do Hiszpanji, skąd zaraz następnego dnia wracała z powrotem. Miała z sobą wciąż dwa parasole. Innego bagażu, nawet neseserka nigdy nie posiadała. Kiedyś zatrzymałem ją i zrewidowałem. Parasole jej również nie uniknęły tego losu, nic jednak przy niej, ani w parasolach nie znajdowało się. Była ona typową starowiną o niesympatycznym wyglądzie i obejściu. Gdy ją zagadnąłem, w jakim celu nosi aż dwa parasole, odparła mi, że jeden przeznaczony jest na słońce, a drugi na dni pogodne. Innym razem dała nic niemówiącą i niedorzeczną odpowiedź na identyczne moje zapytanie. Wzbudzała zazwyczaj wiele zainteresowania przy cleniu, ściągając na siebie uwagę celników i strażników, przy lada okazji zasypując ich pytaniami.

— Czy pan ją poddał obserwacji? — zapytał Tolozan.

— Nie. Nie była warta trudu, ponieważ dobrze wiedzieliśmy, że wcale nie przemycza złota, ani czegoś innego przez granicę. Jest to pani Ponsolle. Mieszka w Bayonne, a przebywa granicę w celu odwiedzenia chorej siostry w San-Sebastian. Tam pozostaje na nocleg i następnie powraca tą samą drogą.

— Czy zawsze te jej parasole są jedne i te same.

— Nie. Czasami ma ona jeden zniszczony niebieski, z czarną białą rączką, innym razem jest to czarny

z brązową. Specjalnie się spostrzeżeniem tem nie interesowałem, zapamiętałem jednak to, że nie zawsze parasole jej są jedne i te same. Co pan sądzi o tem?

— Mogą one coś oznaczać, nie jest wykluczone, że tą drogą ktoś z kimś porozumiewa się tajemniczo.

— Tak, ale co to ma wspólnego z kontrabandą złota?

— Trzeba się będzie wysilić i wysledzić.

— Dobrze, kiedy się tylko ona znów pokaże, posłę za nią kogoś.

Obydwa przyjaciele przybyli tegoż jeszcze popołudnia na ostatnią we Francji stację Irun i Freycinet począł się przygotowywać do przesłuchiwań pasażerów nocnego ekspresu. Starszej pani z dwoma parasolami jeszcze nie było i żaden z jego podkomendnych nie miał nic do zameldowania. Tolozan przyjął minę dobrodusznego komisjonera i ulokował się w poczekalni, mając w prawej ręce skórzaną tekę, a pod pachą lewej plik gazet francuskich. Gdy pociąg przybył i strumień pasażerów skierował się do urzędu celnego na dworcu, Tolozan wkręcił się w kolejkę przyjezdnych. Poczekalnia rozbrzmiewała hałasem, zapani pasażerowie potracali się wzajemnie, tragarze zwycięsko walczyli z kuframi i walizami, Tolozan objany był z obydwu boków. Raptem ponad hałas, specyficznie dworcowy, wybił się kobiecy głos, nabrzmiały charakterystyczną nutą złości i tłumionego niezadowolenia.

— Ach, wy podli ludzie! Znów ta sama komedia, że też taka kobieta jak ja, co ma tylko dwa parasole, nie może uniknąć formalności celnych! Oto jest mój prześladowca, ot ten rumiany, przystojny chłopiec. Zna mnie na pamięć. Ja nawet wiem, że nazywa się Ireneusz. Chodź, chodź, kochany, poraz dziesiąty obejrzyj moje parasolki. Przy tych słowach podała oburącz obydwu parasole. Pasażerowie nie mogli powstrzymać śmiechu, a urzędnicy bezsilnie wzruszyli ramionami.

Była to — dosyć wysoka kobieta, z głową owiniętą czarnym szalem, z pod którego wymykały się kosmyki siwych włosów, opadając na oczy. Raptem dał się słyszeć „urzędowy bas” jakiegoś urzędnika nakazujący kobietom iść na prawo, mężczyznom zaś na lewo.

Osobiste rewizje! Było to dziełem Freycineta. Szmer i wymyślenia rozległy się po sali: „niestychane! co to wszystko znaczy! czy może być coś gorszego niż wogóle urząd celny! gdzie swoboda i prawa obywatelskie!”.

Narzekając i pocąc się, ustawili się ludzie, w myśl polecenia, zapominając wkrótce o starszej pani z dwoma parasolami. W dziesięć minut później odwiedził Tolozan małeńki pokoik, w którym urzędował Freycinet. Rozmaici urzędnicy co chwila wpadali do niego.

— No i cóż, stary druhu? — zapytał on wchodzącego Tolozana.

— Z przyjemnością obejrzałbym zbliżoną parasole tej baby.

— Chętnie!

Wkrótce oba parasole znajdowały się na stole szefa, pod kontrolą jego i emeryta. Nic w rękojeściach, ani na rozpiętym materiale, nie wzbudziło podejrzeń, nawet najmniejszych. Jedno—tylko kolidowało z ubogim strojem staruszki — to rzeźbiona rączka jednego z parasoli, zrobiona z dość kosztownego, zielonego kamienia. Rączka drugiego parasola, była zwykłą drewnianą, barwy brązowej. Tolozan zbadał — trzonek, który jednak był za cienki jak na schówek nawet monety o minimalnej średnicy. Rączka z zielonego jadu nadziana była na trzpień stalowy, tak że i tam nic, nawet papier, nie dał, by się ukryć.

— Chce ją pan przesłuchać? — zapytał Freycinet.

— Nie, ale czyż wyznaczył kogoś, ktoby poszedł w ślad za nią?

— Jeszcze nie.

Wobec tego, ja się tej roboty podejmę, tembar-dziej, że zdaje mi się, że na coś już, podczas obserwacji natrafiłem.

— Ślicznie, pociąg hiszpański odchodzi za kwadrans.

Było bardzo charakterystycznym dla Tolozana, że nic nie mówił o projektowanej za granicę wyprawie. Następnego dnia nie pokazał się wcale w Irun i tak zeszedł tydzień, ale już trzeciego dnia otrzymał Freycinet zagadkowy i tajemniczy list od niego. List był krótki, niedbale napisany i podcyfrowany jedynie literą „T”. Oto treść:

„Gdy stara kobieta z dwoma parasolami ściąga na siebie uwagę, przemyka się dzięki temu pewien młody człowiek z laską spacerową”.

Co on miał na myśli. Młody człowiek z laską spacerową.

Gdy stara kobieta wróci, trzeba mi będzie nie zwracać uwagi na nią, ale odszukać młodzieńca z laską, myślał Freycinet. W dzień po otrzymaniu listu zjawiała się pani Ponsolle, tak jak zwykle. Freycinet szedł za nią do wydziału celnego. Tam zachowała się ona tak hałaśliwie jak zazwyczaj. W pokoju celnym znajdowała się zwykła publiczność — chłopci Baskijscy, księża, handlowcy, komiwojażerowie, kilku angielskich i amerykańskich turystów. Młody człowiek z laską? Wielu ludzi posiadało laski, ale Freycinet wybrał jednego z nich, który stał z tyłu za starą kobietą i dotknął jego ramienia.

— Pan pozwoli za mną — powiedział do niego.

Młody człowiek zdetonował się, ale podążył za nim. W biurze, zażądał od niego Freycinet okazania papierów.

„Maksymilian Aninson, lat 43 podróżujący fabryki maszyn Charbonnel i S-ka w Bordeaux, który je-

zdział do San Sebastian i Bilbao dla odwiedzania różnych firm.

Papiery były w porządku.

— Proszę otworzyć kufer i zdjąć palto.

Młody człowiek wykonał polecenie automatycznie. W kufrze znajdowało się kilka drukowanych katalogów, czysta bielizna, trzewiki, piżama, jednym słowem nic karygodnego. Kieszenie jego również nic nie ukrywały. „Byłoby to śmieszne, myślał Freycinet żebym zatrzymał tego człowieka, za to jedynie, że posiada laskę”. Młody komiwojażer mógł dalej jechać. W parę dni później zjawił się Tolozan z zagranicy.

— Czy ta stara baba z dwoma parasolami przejeżdżała znów? — było jego pierwszym pytaniem zadany po powrocie.

— Nie — odparł Freycinet — ale ona jest nam już zbyt cenna, tak mi się przynajmniej wydaje, a cóż pan ma nowego w tej sprawie?

Tolozan miał tajemniczą minę, skubiąc się za brodkę.

— Zanim się stąd wyniosę, chciałbym jeszcze poczekać na przyjazd nocnego pociągu.

Podczas posiłku Tolozan unikał rozmowy o przemyśle złota.

Gdy nadszedł nocny pociąg, obydwaj komisarze znaleźli się na zwykłych posterunkach, mieszając się z tłumem w wydziale celnym na dworcu.

— Tak jak sobie pomyślałem — mruknął Tolozan.

Pani z dwoma parasolkami przyjechała i zachowywała się ze zwykłą swobodą i hałaśliwością. Freycinet wypatrywał znanego mu już człowieka z laską, bez skutku jednak. Nie przyjechał wcale, ale za to było wielu innych ludzi z laskami, którzy pchali się energicznie w kierunku barjery.

— Tak jak sobie wykombinowałem — szepnął ponownie emeryt.

— Freycinet rzucił okiem na swego przyjaciela, który obserwował bladego, stojącego za starszą kobietą, pana.

— To nie jest ten sam osobnik, który jej ostatnio towarzyszył, szepnął Freycinet do Tolozana.

— Nie? — Ale czy nic nie zwraca twojej uwagi?

— Nie nic, a pan co powie?

— Rzeczywiście, to nie — ten sam człowiek, ale za to laska ta sama!

— Wielki Boże!

— Nie spiesz się, Freycinet, z działaniem, gdyż rządowi bardziej zależy na stwierdzeniu, skąd brane jest wywożone złoto, niż dokąd ono zostaje wysłane i w czyje ręce trafia. Trzeba stwierdzić, gdzie znajduje się to złotodajne źródło.

— Pan wie, którądy ono idzie i dokąd? Ja czuję się przy panu ciemny jak tabaka w rogu. Czy pan — twierdzi Tolozan, że złoto znajduje się w tej oto lasce, którą ja miałem nawet w swych rękach.

— Mam wszelkie dane twierdzić, że to miało

miejsce, ale jest tam jeszcze jeden niewyjaśniony punkt. Wątpię, czy człowiek ten wie o tem co się w lasce znajduje. O zawartości laski, wie jedynie jedna osoba, jest nią — ta stara kobieta z dwoma parasolami.

Freycinet szybko udał się do wydziału celnego, skąd natychmiast wyszedł urzędnik i zawiadomił, że kaźden pasażer podlegnie rewizji osobistej. Tolozan poprosił go jednak o pójście za nim do biura, gdzie go uprzedził, że czyni to jedynie po to, by stara kobieta, nie zorientowała się, że jest wysledzoną i że chodzi mu tylko o jednego pasażera. Rewizja osobista innych może być dokonana jak najpowszechniej i oględniej. Co do upatrzonogo gościa zastrzegł sobie Tolozan osobiste działanie i przesłuchanie w oddzielnym pomieszczeniu. Wkrótce, kolejka z pasażerów doszła do upatrzonogo osobnika.

— Pańskie dokumenty poproszę, następnie odemknąć walizkę i zdjąć palto — odezwał się spokojnym tonem Freycinet — a następnie energicznie i głośno — co za ładna laska! Pan pozwoli...?

Wyrwał mu z ręki laskę i obejrzał dokładnie. Laska rzeczywiście była bardzo ładna. Zrobiona ona była z drzewa, rosnącego w Południowej Ameryce, najprawdopodobniej z drzewa węzowego. Miała ona kilka srebrnych okuć i srebrną rączkę. Laska była wyjątkowo ciężka.

Freycinet pokręcił rączką w obydwie strony. Nie drgnęła nawet. Ten sam zabieg uczynił on i ze srebrnym okuciem, jednym i drugim, bez skutku również. Wreszcie trzeci pierścień obruszył się, dzięki czemu górna połowa laski dała się odkręcić dookoła swej osi.

— Nosi pan laskę ze szpadą, panie Grimant — zauważył on. Właściciel laski był widocznie przestraszony.

— Ona do mnie nie należy, panie komisarzu. Pożyczyłem...

— O! to bardzo smutne! Ale co to jest?

Freycinet odkręcił całkowicie górną część laski i na drzewo biurka wysypał sporą kupkę złotych monet. Na twarzy pana Grimant wykwitło zdumienie i jeszcze większy przestach.

— Ależ ja o tem nie wiedziałem! Naprawdę panie komisarzu.

— Pan wie, że przemykanie złota przez granicę, zaliczone jest do najbardziej karalnych przestępstw, zaraz po szpiegostwie.

— Tak, wiem o tem panie komisarzu, ale nie wiedziałem, że w lasce ukryte jest złoto. Ktoś prosił mnie o zabranie tej laski. Mam żonę i troje dzieci. Jestem biednym człowiekiem. Przysięgam, że nigdy nie popełniłem żadnego przestępstwa.

— No, no niech się pan uspokoi i opanuje. Musimy stwierdzić prawdę. Nakazuję panu być uważnym. Jeżeli pan kłamie, czeka pana więzienie, o ile

zaś powie pan szczerą prawdę — to może puścimy pana swobodnie.

Zatrzymany robił wrażenie dodatnie a opanowawszy szczękaniem zębów, rozpoczął swoje zeznanie.

— Jestem podróżującym branży pończoszniczej. Na dworcu w Bayonne kupowałem bilet do Bilbao, w Hiszpanji. Doszła — do mnie wówczas jedna pani i powiedziała:

— Przepraszam pana. Usłyszałam, że pan jedzie do Bilbao, czy nie byłby pan łaskaw wyświadczyć mi pewnej przysługi?

— Bardzo chętnie, odpowiedziałem, a wówczas ona wręczyła mi laskę ze słowami:

— Bardzo mi zależy by ta laska wręczona została memu mężowi. To jest wielka pamiątka a za dostarczenia jej otrzyma pan honorarium w kwocie 200 franków.

Odpowiedziałem, że uczynię to chętnie. Jestem biednym człowiekiem, mam troje dzieci, a młoda kobieta odeszła obiecując wrócić niebawem z adresem zapisanym na kartce. Nie wróciła jednak, lecz zamiast niej doszedł do mnie jakiś pan, wyglądający na toreadora, pogromcę byków, i powiedział:

— Ta pani musiała szybko odjechać i poleciła mnie załatwić sprawę z laską. Niech pan sobie zapamięta co następuje, że musi pan strzec laski jak oka w głowie. Na dworcu zobaczy pan kobietę z dwoma parasolami. Ma pan tak manewrować, by zobaczyła, że posiada pan laskę, ale nie ma pan prawa odezwać się do niej. Przez cały czas w drodze do Bilbao ma pan się trzymać w jej pobliżu, zwłaszcza przy cleniu. Następnego dnia o godzinie 11 minut 15 ma pan spacerować po Calle Major. Tam zgłosi się do pana mężczyzna z niebieską rozetką w butonjerce i wręczy panu kopertę z 200-ma frankami, zabierając jednocześnie od pana laskę. To wszystko, co pan zrobi wzamian za łatwo zarobione pieniądze. Ale jak, braciszku, coś pokręcisz, to dostaniesz nożem w bebechy, zakończył gardłowym głosem. Byłbym szczęśliwy, gdybym tej laski nigdy nie zobaczył.

Freycinet policzył złote monety, było ich dokładnie 278 sztuk. Dopasowane były one ściśle do średnicy wydrążonej laski, widocznie specjalnie w tym celu zrobionej. Ostrożnie ulokował on złoto w lasce i osadził odkręcalną część laski w srebrnym okuciu - pierścieniu. Wówczas ku wielkiemu zdziwieniu agenta pończochowego wręczył mu laskę ze słowami:

— Zapomnijmy o tem co tu miało miejsce, panie Grimant, niech pan kontynuuje podróż bez przerwy w dalszym ciągu i stosuje się ściśle do otrzymanych instrukcji. Nikomu nie ma pan prawa pisać o tej całej historii.

Gdy oszołomiony człowiek opuścił pokój, Freycinet zadzwonił i wezwał agenta.

— Tardie, powiedział on, nie spuszczać z oczu laski — tego człowieka, co to dopiero w wyszedł stąd.

Jedzie on do Bilbao. Proszę śledzić laskę, a nie jego i to jak najdłużej, a następnie wrócić z zagranicy i zawiadomić nas u kogo, ostatecznie laska ta pozostała.

Po trzech dniach zjawił się Tardieu i opowiedział o rezultacie obserwacji: śledził on komiwojażera do Bilbao, gdzie obserwowany zatrzymał się w tańszym hotelu. Położył się on spać bardzo wcześnie, zabierając laskę do numeru. Rankiem następnego dnia opuścił hotel, zabierając laskę. Wyglądał na bardzo zaniepokojonego spacerując po Bulwarze i co chwila zerkając na zegarek. O godzinie 11 minut 10 udał się na Calle Major. Tam spotkał mężczyznę z niebieską rozetką w klapie, któremu wręczył laskę, otrzymując wzamian kopertę. Tardieu począł obserwację mężczyzny z niebieską rozetką. Wszedł on do restauracji i zamówił jedzenie. Wkrótce do jego stolika przysiadł się drugi mężczyzna. Obydwaj zamienili zaledwie kilka słów spiesznie zjadając. Po posiłku rozstali się, ale Tardieu, zauważył, że zamienili laski, wobec czego począł śledzić trzeciego z rzędu mężczyznę, który wsiadł do taksówki, za którą również pojechał wywiadowca. Śledzony wyszedł z taksówki przed jednym z domów i udał się na pierwsze piętro domu zajętego przez biura, gdzie wszedł do pokoju oznaczonego napisem „Prywatne”. Pokój należał do biura banku, pozostającego w kontakcie z pewną południową amerykańską republiką. Tolozan nie chciał mi dać nazwy tego państwa, ale przypuszczam, że była to pewna republika słynna z wrogiego stosunku do Francji.

W biurach tego banku stracił się, śledzony, z oczu detektywa, który bez przerwy, przez 24 godziny, obserwował wychodzących. Człowiek z niebieską rozetką opuścił bank po 20 minutach bez laski. Przez 24 godziny nikt z laską, o którą chodziło nie wyszedł z gmachu koncernu bankowego, wobec czego wywiadowca uznał za stosowne zaniechać dalszej obserwacji.

Nie pozostawało Freycinet'owi nic innego jak trwać w dalszym ciągu na czatach na dworcu w Irum i czekać szczęścia. Drugiego dnia, rannym pociągiem, zjawiła się historyczna baba o dwóch parasolach. Była spokojniejszą, niż zazwyczaj, nie wywołując takiego zainteresowania swoją osobą jak zwykle. Nikt nie szedł w ślad za nią. Różne laski przedelfilowały przez pokój celny, ale żadna z nich nie miała znanego już nam wyglądu. Freycinet zaczął już tracić równowagę, dziwiąc się, że Tolozan prowadził ożywioną rozmowę z angielskim duchownym, posiadającym w bagażu sprzęt do gry w golfa, o sporcie i specjalnie o golfie. Pocom wzywał go z Bordeaux, zastanawiał się, obliczając minuty do odejścia pociągu: pięć, trzy, dwie... raptem uczuł dotknięcie łokcia.

— Byczo jest, w pociągu paryskim, w trzecim wagonie.

— Kto tam jest? — zapytał Freycinet Tolozana.

— Angielski ksiądz, amator gry w golfa.

— Cóż to ma się, u diabła, do rzeczy?

— Razem z kijami do golfa, w specjalnie impregnowanej torbie, zaopatrzonej w pas rzemienny, ma on laskę.

Freycinet wskoczył do przepelnionego pociągu, gdzie musiał stać, aż do samego Paryża w przejściu tuż przed przedziałem zajęтым przez duchownego - sportsmena, który torbę z kijami ulokował na siatce, nad swoim siedzeniem. Jak trafnie przypuszczał Freycinet, angielski duchowny był jednym z pierwszych pasażerów, którzy udali się do wagonu restauracyjnego. Skorzystał z tego natychmiast i wszedł do pustego przedziału gdzie leżała torba z kolekcją różnego rodzaju pałek i kijów. Rzeczywiście między nimi znajdowała się laska. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Po godzinie wrócił ksiądz-pastor. Freycinet zerwał się i specjalnie grzecznie, po angielsku przemówił do niego.

— Proszę o przebaczenie, waszej wielbności, ale naprawdę byłem okropnie zmęczony i podczas jego chwilowej nieobecności ośmieliłem się przysiąc na chwilę. Już wychodzę.

— Ależ proszę! Proszę! Niech pan się nie krępuje mną, bynajmniej — zachęcił uprzejmy Anglik Freycineta, do pozostania w coupé.

Niedaleko Paryża zagadnął go komisarz całkiem nieoczekiwanie.

— Proszę mi wybaczyć. W pańskiej torbie od golfa znajduje się i laska spacerowa. Będzie pan łaskaw powiedzieć mi, skąd się ona wzięła u pana?

Duchowny, mocno zdziwiony nagłym pytaniem, otworzył szeroko oczy i usta, następnie jednak powiedział.

— No... tak... Dostyc dziwna historia. Na dworcu w San - Sebastiano, podszedł do mnie nieznajomy pan i zapytał uprzejmie, czybym nie zechciał wziąć jej do Paryża. Inny, młody człowiek miał się po nią zgłosić do mnie na... Quai d'Orsay... to stara laska... i wartościowa... odziedziczona po wuju-duchownym.

I w rzeczywistości, tuż koło dworca oczekiwał, na Quai d'Orsay jakiś mężczyzna. Na niego skierowała się teraz uwaga Freycineta. Odbyła się tam identyczna procedura, z opowiedzianą historią przez Tardieu, którą obserwował on po stronie hiszpańskiej w Bilbao, z tą różnicą, że duchowny nie wziął koperty. Człowiek ten, z laską w ręku wszedł do kawiarni przy ulicy Beockiej. Weszli tam następnie mężczyzna z młodą dziewczynką. Wypili dwie kawy i opuścili lokal, przy czym laska zmieniła właściciela.

Niewiele brakowało, by z braku samochodu, zginęli Freycinetowi z pola obserwacji, wsiadając do jedynej, stojącej taksówki. Trzeba trafu, że przejeżdżał inny, prywatny automobil, chociaż z pasażerem, który jednak powiadomiony w dwóch słowach o pościgu, lojalnie ofiarował wóz i czas do dyspozycji komisarza.

Taksówka jechała Avenue Malakoff, a za nią sunęła prywatna limuzyna lojalnego Francuza. Raptem

taksówka zatrzymała się. Freycinet znał dobrze piękny budynek renesansowy, należący do jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych mieszkańców Paryża, piastującego wysokie stanowisko w ministerstwie skarbu. Nazwijmy go panem Z. Przypomniały się Freycinet'owi opinie i zdania o nim, szeptane, jak to się mówi na ucho.

Obydwaj mężczyźni wkrótce opuścili gmach bez laski, a w godzinę potem zauważył Freycinet pana Z. samotnie wychodzącego ze swego pałacyku.

Fatalna laska, znajdowała się w jego ręce. Pan Z. wszedł do swego samochodu, polecając szoferowi zawięzić się najwpierw do ministerstwa skarbu.

Łatwo było domyśleć się teraz jaką drogą uciekało złoto z Francji — ciągnął opowiadanie Tolozan — a co najciekawsze, niech mi pan wierzy, że i tutaj przyczyną zniszczenia mężczyzny była kobieta. Pan Z. nigdy nie został aresztowany, zawiadomiono go jednak o rezultacie naszych dochodzeń. Przypomina pan sobie przecież koniec nieszczęśliwego pana Z. Zasnął on pewnego wieczoru w pokoiku sypialnym, w swym pałacu przy ulicy Av. Malakoff. Było to w tydzień po naszych rezultatach. Położył się on jak zwykle do łóżka. Jeden ze służby naprawiał coś w piecu ogrzewającym sypialnię. Służba domowa jest nieraz bardzo lekkomyślna. Gaz, czad ulatniał się powoli, powoli... Lokaj zastał pana Z., następnego ranka, bez życia. Tragiczny koniec tak świetnej kariery... bardzo tragiczny i pożałowania godny.

— A kobieta? Wtrąciłem na zakończenie.

— Racja, pozostała kobieta. Jak pan wie, pan Z. był dawno żonatym z Hiszpanką, nie piękną, ale mającą specjalną moc nad mężczyznami. Była ona tancerką i śpiewaczką, występującą pod imieniem „Juanita, tancerka z Sevilli”. Dziś jeszcze śpiewa i tańczy ona w najlepszych lokalach paryskich. Jeżeli pan ma ochotę możemy pójść dziś jeszcze usłyszeć ją i obejrzeć.

— Owszem, ale niech mi pan powie, Tolozan, czy odpowiadała ona za zbrodniczy przemyt złota?

— Spodziewaliśmy się tego, ale nie można było tego dokonać. Jest ona sprytna, wyjątkowo sprytna. Pochodzi ona z tego południowo - amerykańskiego państwa, o którym wspominałem. Ma ona tam bogatych i wpływowych przyjaciół, odwiedzających ją corocznie. Paryż przyciągał dużo takich kobiet. Jest ona doskonałą artystką na scenie, ale stokroć lepszą w życiu.

— Ma pan na to dowód, przykład?

— Była to ta stara kobieta, z dwoma parasolami.

— Czemuś jej pan nie zaaresztował i nie zatrzymał w więzieniu!

— Aresztować? Cóż ona właściwie zrobiła, poza tym, że z dodatkowym parasolem przedostawała się przez granicę. Czy to jest przestępstwem? Chodźmy lepiej do „Casino”, będzie pan zachwycony.

Michał Godlewski



## Z doliny Białego do doliny Czarnego Czeremoszu

Było to latem 1926 r.

Po przenocowaniu w Uścierykach, miejscowości, gdzie zlewają się z sobą Biały i Czarny Czeremosz, wybrałem się wraz z panem L. na kontrolę placówek i służby granicznej.

Ponieważ w planie miałem daleką podróż, przeto dla zaoszczędzenia koni wyjechaliśmy rano wozem, wioząc z sobą siodła i paszę na trzy dni.

W południe dotarliśmy do Jabłonki nad Białym Czeremoszem, gdzie po stronie rumuńskiej znajduje się siedziba urzędu celnego.

Z Jabłonki ruszyliśmy wierzchem przez Hryniawę do Marjenu.

Droga od Jabłonki po Hryniawę możliwa dla przejazdu wozem, dalej jednak nadająca się zasadniczo tylko do podróży pieszej i konno. Im bliżej Marjenu, tem częściej trzeba przejeżdżać Czeremosz z jednej strony na drugą, uważając, by koń nie połamał sobie nóg w kamienistym i pełnym wyrw dnie rzeki.

Kiedy około godziny 22 dotarliśmy do Marjenu było już ciemno. Napróżno rozglądałem się za światłami, które z wieczora dają przybyszowi możliwość zorientowania się co do wielkości osady. Pan L., który znał już dobrze ówczesną siedzibę placówki, wytłumaczył mi, że osada Marjen faktycznie nie istnieje, że jest tam natomiast wielka kłauza dla spławu drzewa, jej wartownik, placówka Straży celnej i „koliby” (szałas) dla koni i ludzi, zatrudnionych przy zwózce i spławie drzewa.

Po chwili jazdy zabłysnęły faktycznie w oddali trzy światła. Jedno z nich w lesie na wzgórkach na lewym brzegu Czeremoszu i kłauzy oraz dwa po prawym brzegu.

Światła w lesie należało do placówki naszego końcowego w tym dniu celu podróży, do którego dobrnęliśmy wreszcie zmęczeni całodzienną jazdą i pracą na poszczególnych placówkach.

Usłudni, jak zwykle w takich razach, strażnicy, zajęli się końmi, oraz naszym posiłkiem i noclegiem.

Dnia następnego czekała nas dalsza podróż, jeszcze więcej uciążliwa, niż z Uścieryk do Marjenu.

W projekcie mieliśmy przedostanie się z Marjenu przez góry do Luzdunu i Burkutu, położonych nad Czarnym Czeremoszem.

Ponieważ przestrzeń, jaką mieliśmy do przebycia, wymagała całego dnia podróży, wyruszyliśmy w drogę już o godzinie 7-mej.

Ranek był piękny, słoneczny. Droga prowadziła wzdłuż Czeremoszu i jego dopływu Hostowca, następnie zbiegła na grzbiet Pniewia.

Zbocze góry było strome do tego stopnia, że o siedzeniu na koniach nie było nawet mowy, a trzeba było je prowadzić. Po około 3-godzinnej podróży i wydostaniu się na Pniewie zrobiliśmy krótki postój dla posiłku i popasu koni. Trzeba było spieszyć się, by wzgórzami dotrzeć jeszcze wieczorem do celu podróży.

Przejeżdżając obok jednego z takich zabudowań napotkaliśmy pastuchów oraz jedną kobietę. Wszyscy brudni, nie myci chyba od wiosny.

Kiedy mijaliśmy już ostatni wierzchołek gór, chwyciła nas krótkotrwała burza z piorunami.

Do Luzdunu przybyliśmy około godz. 18 kompletnie zmoczeni i głodni, bo zapasy jada skończyły się nam w południe, a uciążliwa jazda pobudzała apetyty.

Luzdun, to znowu kłauza z jednym dorosłym mężczyzną, dozorcą i jego 16-letnim synem.

W rozmowie z nim, dowiedzieliśmy się, że pochodzi z okolic Tarnowa, jest sam, z żoną nie żyje, bo po co mu potrzebna, jak się wyraził „baba”, gospodarstwa też nie prowadzi żadnego.

Na prośbę, by nam sprzedał coś do jedzenia, wzbraniał się, dopiero kiedy zauważył, że towarzyszący mi pan L. improwizuje wędkę ze szpilki i nitki, t. j. tego, co miał pod ręką — zawołał syna i kazał mu rozglądać się za rybą.

Syn dozorczy poszedł z nami do kłauzy w miejsce, gdzie z pod zasuw wyrywał się cienki strumień wody, pędzącej z ogromną szybkością po podłodze kłauzy do rzeki.

Kiedy zasunął całkowicie zasuwę, zauważyliśmy ku ogromnemu zdumieniu i uciechu, że na końcu podłogi, wiszącej nad wodą, znajduje się skrzynka (paczka), do której weszło pod prąd spadającej wody kilka pstrągów.

Chłopiec zabrał pstrągi i wnet przystąpił do przyrządzania ich.

Po spożyciu przez nas pstrągów rozkrochmalony dozorca podał jeszcze wypiekaną mamałygę i mleko, a więc to, czem była chata bogata.

Nasyceni obfitem jadem, wyruszyliśmy od oddalonego od Luzdunu o 16 klm. Burkutu, siedziby placówki nad Czarnym Czeremoszem.

W Burkucie, słynnym ze swej znakomitej wody mineralnej, byliśmy już jak u siebie w domu.

Trzeci i czwarty dzień uciążliwej, lecz ciekawej podróży służbowej z Burkutu przez Szybene, Żabie i Uścieryki do Kut opisałem już swego czasu w „Czatach” w artykule p. t. „Tratwą po Czeremoszu”.

Nadkomisarz Antoni Wilk

## Sprawy, które nas obchodzą

### KOMUNIKATY ZARZĄDU STOWARZYSZENIA „SAMOPOMOC STRAŻY GRANICZNEJ”, WARSZAWA

Zarząd podaje do wiadomości P. T. członków, że w m-cu lipcu 1934 wypłacił:

a) z „Funduszu Pośmiertnego” jedną zapomogę w kwocie 4.775 zł.;

b) z „Funduszu Zapomogowego” dzieśię zapomóg po 955 zł.

Ponadto Zarząd podaje do wiadomości P. T. członków, że zmieniony statut ponownie zapisany został do rejestru stowarzyszeń pod Nr. 389 na mocy decyzji Komisarza Rządu m. st. Warszawy z dnia 27.VI 1934 Nr. B. S. II/6/1567 — z następującymi zmianami, na str. 3 w § 17 po słowie „co najmniej” skreślono liczbę „1/3” i dopisano „1/10” — na str. 5 w § 28 po słowie „obecność” skreślono słowo „2-ch” i poprawiono „3-ch”.

Zarząd

#### KOMUNIKAT Nr. 28.

Zarząd komunikuje, że w dn. 1 sierpnia 1934 r. przypada do zebrania od członków składka:

- |   |          |
|---|----------|
| a) za wypadek śmierci członka ś. p. strażnika Wielgusa Franciszka z jednostki Nr. 103 | 1.00 zł. |
| b) za wypadki zwolnienia członków z czynnej służby:                                   |          |
| 1) str. Borożyński Antoni z jednostki Nr. 37  | 0.20 „   |
| 2) str. Schmidt Wilhelm z jednostki Nr. 31  | 0.20 „   |
| 3) przod. Kowalski Ignacy z jednostki Nr. 52  | 0.20 „   |
| 4) przod. Janos Józef z jednostki Nr. 68  | 0.20 „   |
| 5) str. Strzelbicki Józef z jednostki Nr. 92  | 0.20 „   |
| 6) str. Wejrauch Antoni z jednostki Nr. 130   | 0.20 „   |
| razem od każdego członka po   | 2.20 zł. |

Komunikując o powyższym uprzejmie prosimy Pana Kierownika o zarządzenie zebrania od członków w dn. 1 sierpnia 1934 r. wyżej podanych składek i wpłacenia ich po myśli regulaminu wykonawczego do statutu.

Skarbnik: (—) Koza st. przod.      Prezes: (—) Ślęczka kom.

#### Usterki w wykazach Fund. Pośmiertnego za m-c lipiec 1934.

1) Jednostka Nr. 6 (kom. Rajgród) winien wpłacić 3 zł. za str. Orzeszynę Józefa do Komunikatu Nr. 15 z 26.IV 1934 r.

2) Jednostka Nr. 7 (kom. Grajewo) nie wykazuje ubytku i przyrostu członków oraz nie oznacza wykazu i blankietu P. K. O. numerem jednostki.

3) Jednostka Nr. 15 (kom. Szczepkowo-Borowe) nie wykazuje ubytku członków.

4) Jednostka Nr. 18 (kom. Rybno) — nie wykazuje przyrostu członków, nie przestrzega kolejności wpisywania członków do wykazu oraz winien przesyłać wykaz dla każdego funduszu oddzielnie.

5) Jednostka Nr. 20 (kom. Krotoszyny) przesyłać wykaz dla każdego funduszu oddzielnie.

6) Jednostka Nr. 46 (kom. Kamień Pom.) nie wykazał ubytku 5-ciu członków.

7) Jednostka Nr. 34 (kom. Hel) członkowie wykazani pod L. p. 37—41 winni wpłacić po 2 zł. tytułem zaległych składek.

8) Jednostka Nr. 57 (kom. Piłka) — nie wykazał przyrostu strażnika Knobla Antoniego oraz ubytku str. Kubika Józefa.

9) Jednostka Nr. 68 (kom. Rawicz) podkom. Marciniak Piotr nadpłacił 1 zł. 60 gr. — potrącić w m-cu sierpniu b. r.

10) Jednostka Nr. 77 (I. G. Wieluń) nie wykazał przyrostu strażnika Szypuły Jana.

11) Jednostka Nr. 90 (kom. Szarlej) ustawicznie zmienia kolejność wpisywania członków do wykazu.

12) Jednostka Nr. 104 (kom. Korbielów) podkom. Lipski Stanisław winien wpłacić 2 zł. zaległych składek.

13) Jednostka Nr. 38, 97 i 105 (kom. Sierakowice, kom. Zebrzydowice i kom. Kraków) nie wykazują równej ilości członków obu funduszy — zechcą uzupełnić odnośnymi deklaracjami do 5.VIII 34 r. — względnie ci członkowie, którzy nie płacą składek do obu funduszy, zostaną w tym terminie z listy członków wykreśleni.

Wyżej podane usterki utrudniają Zarządowi normalną pracę i spowodować mogą nieporozumienie, przeto Zarząd usilnie prosi P. Kierownika odnośnej jednostki, by sporządzający wykazy szczegółowo zapoznał się z regulaminem wykonawczym do statutu.

Ponadto Zarząd przypomina, że terminem przesyłania wykazów i wpłacania zebranych składek jest dzień 5 każdego miesiąca.

Zarząd

#### LATA SŁUŻBY WOJSKOWEJ W B. ARMJI NIEMIECKIEJ, A EMERYTURA

Wydział Emerytalny Min. Skarbu pismem L. 39001/Em/34, opierającym się na wyroku Najwyższego Trybunału Administracyjnego wydał nowe rozporządzenie dotyczące obliczania lat służby

wojskowej w byłej armii niemieckiej w czasie wojny do emerytury.

Według powołanego rozporządzenia służba wojskowa niemiecka w czasie wojny liczy się podwójnie zawodowym wojskowym, oraz funkcjonariuszom państwowym, powołanym do służby wojskowej.

Powołanym z rezerwy oficerom i szeregowym służba wojenna zalicza się do emerytury w wymiarze pojedynczym.

Osobom, które podczas działań wojennych dostały się do niewoli zaliczano do emerytury czas spędzony w niewoli tylko indywidualnie, za specjalnym zezwoleniem cesarskim.

Min. Skarbu poddało rewizji szereg rozstrzygnięć emerytalnych dokonanych przez Izby Skarbowe prostując obliczenia lat w sposób określony okólnikiem.

W związku z powyższymi zawiadomieniami zainteresowanych P. T. Czytelników, że ogłoszone dotychczas obliczenia służby zaborczej w byłej armii niemieckiej ulegają pewnym poprawkom, które łatwo można obliczyć.

Dla pocieszenia tych P. T. Czytelników, którym władze skarbowe odmówiły zaliczenia służby zaborczej zgłoszonej przed 31.XII.33 podajemy, że istnieje możliwość policzenia tej służby jako pracy zawodowej.

#### PRZEPISY WYKONAWCZE DO USTAWY O ZAOPATRZENIU EMERYTALNEM FUNKCJONARJUSZÓW PAŃSTWOWYCH I ZAWODOWYCH WOJSKOWYCH.

W Dzienniku Ustaw Nr. 60 z 10.VII b. r. ogłoszono rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 28.V.34 w sprawie wykonania ustawy z 11.XII.23 o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjon. państwowych i zawodowych wojskowych.

Rozporządzenie wyjaśnia szczegółowo postanowienia samej ustawy emerytalnej. Z ważniejszych wyjaśnień podajemy w niniejszym numerze Czat następujące:

1) Z zaopatrzenia emerytalnego wolno egzekwować nie tylko należności Skarbu Państwa i alimenty, lecz również wszelkie inne zobowiązania.

2) Z pensji wdowiej nie potrąca się należności Skarbu Państwa od emeryta i sierot, a z pensji sierocej — należności od emeryta, wdowy po nim i innych sierot.

3) Jeżeli zostanie przyznana emerytura w drodze łaski nprz. za pewną ilość lat i bez ograniczeń co do czasu i osób uprawnionych, to do pozostałych wdowy i sierot stosuje się automatycznie postanowienia ustawy emerytalnej.

4) Powstanie kalektwa lub choroby z winy funkcjonariusza państwowego zachodzi tylko w razie rozmyślnego postępowania, zmierzającego do wywołania szkodliwych następstw.

5) Reaktywowany emeryt przy ponownym przeniesieniu go w stan spoczynku i posiadaniu mniej niż 15 lat służby otrzymuje emeryturę nie niższą niż ustalona przed reaktywacją.

**TRAGICZNA ŚMIERĆ MIN. SPR. WEW.  
BRONISŁAWA PIERACKIEGO  
WSTRZAŚNĘŁA LUDNOŚCIĄ  
CHORZEL**

Wiadomość o tragicznej śmierci ś. p. Min. Spraw Wew. gen. bryg. Bronisława Pierackiego, wielkiego męża stanu, pełnego zapału i niepożytej energii działacza w Rządzie, który w dniu 15 czerwca r. b. padł od kul z ręki skrytobójczej jako żołnierz na posterunku, szczególnie silnym a bolesnym echem odbiła się wśród mieszkańców m. Chorzele i okolic na Pograniczu Prus Wschodnich.

Na znak żałoby, na wszystkich budynkach, urzędów państwowych i samorządowych oraz na wielu domach prywatnych opuszczono do połowy masztu flagi o barwach narodowych i okryto je kirem.

Wszystkie uczty i przyjęcia wyznaczane na najbliższe dni, zostały na ten czas odwołane.

W dniu 23 czerwca r. b. staraniem władz państwowych i samorządowych zostało odprawione w miejscowym kościele parafjalnym — uroczyste nabożeństwo żałobne za spójność duszy ś. p. Min. gen. bryg. Bronisława Pierackiego. W nabożeństwie wzięli udział wszyscy szeregowi Str. Gr. wolni od służby na czele z kier. k-tu, szeregowi policji, urzędnicy samorządowi, oraz liczne miejscowe społeczeństwo.

**OBCHÓD „ŚWIĘTA MORZA”  
W CHORZELACH**

Uroczystość „Święta Morza” była obchodzona w Chorzelach bardzo okazale. Już w przeddzień uroczystości 28 czerwca r. b. całe miasto przybrało odświętny wygląd, budząc miłe wrażenie. Budynki urzędów państwowych samorządowych i prywatnych, zostały udekorowane flagami, lampjonami i zielenią. Balkony, bramy i wystawy sklepowe, przybrane w barwy narodowe i emblematy Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Punktem kulminacyjnym uroczystości było tradycyjne puszczanie wspaniałych wianków iluminowanych na rzece Orzyc, przy dźwiękach orkiestry Straży Ogniowej.

Widok kilkudziesięciu pływających wianków, łodzi i kajaków pięknie przyozdobionych i oświetlonych reflektorami robił potężne wrażenie i stanowił w oczach zebranej publiczności wzdłuż obu

brzegów rzeki pierwszorzędną atrakcję. Zwłaszcza duży entuzjazm wzbudziły łodzie Komisarjatu Str. Gr. Chorzele pięknie udekorowane i rześcicie iluminowane, które symbolizowały na falach Orzycą naszą czujność i gotowość do obrony wybrzeża polskiego. Publiczność zebrana na wybrzeżu do późnej nocy podziwiała efekty świetlne i przysłuchiwała się koncertom orkiestry.

W dniu 29 czerwca r. b. odprawione zostało uroczyste nabożeństwo w miejscowym kościele parafjalnym, na intencję pomyślnego rozwoju floty wojennej polskiej na morzu.

Wieczorem w świetlicy Straży Ogniowej wypełnionej szczelnie po brzegi przez publiczność, odbyła się uroczysta akademja na całość której złożyły się: deklamacje i wyświetlanie przeźroczy, odtwarzające życie na morzu w porcie Gdynia.

Całość akademji wypadła bardzo imponująco.

**WALKA PSA Z PRZEMYTNIKIEM  
W FALACH RZEKI.**

Inspektorat straży granicznej w Częstochowie przez dłuższy czas śledził pilnie jedną z poważniejszych band przemytniczych, grasujących pomiędzy wsiami Łębki i Kamińsko, która przemyciała tytoń i rodzynki bądź wskakując w biegu do pociągów towarowych, zdążających do Łodzi, bądź przebywając drogę na Kłobucko i Częstochowę na furach.

Pewnej nocy funkcjonariusze urzędzili zasadzkę na bandę, która też dobrze po północy poczęła się przekradać przez granicę. Gdy t. zw. szpica natknęła się na strażnika, który wezwał bandę do zatrzymania się, dała znak ostrzegawczy towarzyszącej szajki rzuciła się do ucieczki. Funkcjonariusze gonili uczestników szajki, gdy nagle jeden z nich wskoczył do płynącej wzdłuż granicy rzeki, Liswarty, a wówczas pies, asystujący straży granicznej, rzucił się za przemytnikiem, usiłując go przytrzymać. Między zwierzęciem a człowiekiem rozpoczęła się walka na śmierć i życie — pies chwycił kłami uciekiniera, a ten odpłacał mu pięknem za nadobne; wreszcie człowiek osłabł i dzielne zwierzę dociągnęło go do brzegu. Ujętym okazał się Andrzej Gemza, mieszkaniec Kielc, drugi uczestnik przemytniczej wyprawy Walenty Gos został również przytrzymany, reszta, porzuciwszy towar, zbiegła.

Wczoraj sąd okr. skazał Gosa i Giemzę na dość wysoką grzywnę oraz po tygodniu więzienia.

**POSTRZELENIE PRZEMYTNIKA.**

Patrol straży granicznej w Szarleju natknął się na trzech przemytników, którzy pod osłoną nocy chcieli się przedostać z

wielkim transportem towarów na teren Polski. Ponieważ przemytnicy nie chcieli się zatrzymać na wezwanie, strażnicy użyli broni. Jeden z przemytników został postrzelony w nogę i upadł. Wszystkich trzech przemytników schwytano i skonfiskowano im większe ładunki pomarańczy i fig.

**WYRAFINOWANY SPOSÓB PRZEMYTNICTWA.**

Ciekawy sposób przemytnictwa wymyślił sobie nieznany dotąd obywatel woznica Krypczyk z Wodzisławia.

Krypczyk rozwoząc piwo w beczkach po okolicznych miejscowościach Wodzisławia na odcinku Komisarjatu Straży Granicznej Gorzyce, wypełniał jedną z beczek obuwiami damskim, pochodzącym z Czechosłowacji.

Ażeby upozorować, że beczki są wypełnione piwem, zdejmował z próżnej beczki obręcz i dno, które po napełnieniu obuwiami z powrotem nasadzał, korygując również otwór.

Niecny proceder przemytniczy Krypczyka wykryli wywiadowcy placówki Skrzebsk st. str. Kolonko Walenty i str. Garbacz Julian.

Beczka pakowana obuwiami w gospodzie Grzonki Jana zawierała 14 par obuwia.

**ZAMIANA MIEJSC SŁUŻBOWYCH**

Str. Materny Stefan z plac. Krasnołąka, Kom. Działdowo I. G. Przasnysz Mazowiecki I. O., pragnie zamienić dotychczasowe miejsce służbowe z kolegą I. G. Brodnica najchętniej Kom. Łasin. Nadmieniam, że placówka Krasnołąka jest najlepszą w Komisarjacie, do miasta i Komisarjatu, kościoła, poczty, kolei 7 km. szosa, komunikacja bardzo dobra, mieszkanie tak dla kawalera, jak i żonatego zapewnione. Któryby z kolegów reflektował, proszę się zgłosić pod adres: Stefan Materny, Krasnołąka, pocz. Działdowo. Poza to bliższych szczegółów udzieli listownie.

Janicki Ludwik z pl. Rodzone, Kom. Lubawa I. G. Brodnica, I. O. Mazowiecki pragnie zamienić dotychczasowe miejsce służbowe z kolegą z Wielkopolskiego I. O. I. G. Orłowo Kom. Sośnie, Kobyłgóra, lub Rychtal pl. obojętnie.

Nadmieniam, że Kom. Lubawa plac. Rodzone leży w bardzo dobrym położeniu. Mieszkania dla żonatych i kawalerów w budynkach skarbowych jak i prywatnych zapewnione, do stacji kolejowej w Lubawie 5 km., do Rodzonego 4 km. Adres: Rodzone, poczta Rodzone, pow. Lubawa, Pomorze.

## Z obcych granic

### PODWODNA ŁÓDZ PRZEMYTNIKÓW

Niezwykłą sensację wywołało w Belgii wyłowienie z nurtów kanału łączącego Gandawę z Brugges łodzi podwodnej o miniaturowych rozmiarach, która służyła przemytnikom prawdopodobnie do kontrabandy towarów między Belgią i Holandją. Długość około 3 i pół metra oraz przekrój około 1 metra pozwalają na umieszczenie w łodzi jednego człowieka, który przy pomocy nożnego pedału wprawia w ruch śrubę i w ten sposób porusza się pod wodą. Rezerwuary na wodę pozwalają się zanurzać, a butelki z tlenem odświeżają powietrze w głębi łodzi. Oprócz tego łódź posiada mały peryskop długości 2 metrów.

### PROCES WIELKIEJ BANDY PRZEMYTNICZEJ.

Przed sądem belgijskim w Brugges toczy się obecnie rozprawa przeciw potężnej bandzie międzynarodowych przemytników, która trudniła się przemycałaniem alkoholu z Holandji do Belgii. Banda ta posiadała całą flotyllę statków. Wykryto ją wskutek wypadku, wywołanego burzą. Skarb państwa żąda nałożenia na przemytników kary w wysokości blisko 10 milionów franków, jako odszkodowanie za poniesione straty.

### 2000 KG. PRZEMYCONEGO TYTONIU W STARYM KOŚCIOŁKU.

Zawodowi przemytnicy są — jak wiadomo — niesłychanie pomysłowi, gdy chodzi im o ukrycie przemyconego towaru. Ostatnio przemytnicy francuscy wpadli na osobliwy pomysł ukrycia tytoniu, przemyconego z Belgii, w starym, zniszczonym kościełku w Herlies. Przypadkowo jeden z urzędników celnych wykrył ukryte tam 2000 kg. tytoniu, przedstawiającego wartość 123.000 franków. Cały zapas tytoniu władze skonfiskowały, na ślad przemytników nie natrafiono.

### 4 MILJONY FRANKÓW GRZYWNY ZA PRZEMYT KLEJNOTÓW.

Sąd paryski skazał popularną aktorkę, Jenny Dolly — za przemycenie do Francji klejnotów wartości 50 tysięcy funtów szterlingów na trzy dni bezwzględnej aresztu i niesłychanie wysoką grzywnę: 4 milionów franków (około półtora miliona złotych!).

Jest to najwyższe z dotychczas nałożonych przez władze francuskie kar za przemyt klejnotów.

Aktorka wniosła apelację, ponieważ — jak oświadczyła dziennikarzom — „nie może znieść myśli, aby w kraju, który zawsze gościnnie ją witał, uważana była za złodzieja”.

Winę składa aktorka na swą sekretarkę osobistą, która podobno bez jej wiedzy zabrała z Anglii kosztowności, świeżo nabyte. Sąd paryski nie dał wiary tym wyjaśnieniom. Sekretarka aktorki niedawno zmarła, sądowi zaś wiadome były pewne próby ze strony oskarżonej, zmierzające do spieniężenia klejnotów.

### PREMJJE RZĄDOWE DLA... PRZEMYTNIKÓW.

Ogromną sensację wywołały w Belgii statystyki eksportu holenderskiego. Okazuje się z nich, iż Holandia sprzedała w Belgii blisko 4 miliony kilogramów masła, podczas gdy na granicy skonstatowano, że cło nałożono jedynie na 2,384.000 kg. Czyli, że przeszło jedna trzecia eksportu masła holenderskiego do Belgii została przewieziona przez przemytników.

Ilustruje to najlepiej przemytnictwo, istniejące na granicach Belgii. Od strony Holandji i Niemiec wkraczają tu całe taborzy wołów, naładowanych towarami. Między przemytnikami i policją staczone są tu regularne walki, przyczem przemytnicy posługują się autami pancernymi. Rząd belgijski stracił na przemycie masła holenderskiego w roku 1933 przeszło 18 milionów franków. Co jest w tem jednak najciekawszem, to fakt, iż rząd holenderski przyznaje przemytnikom premje tak, jak zwykłym eksporterom. Kilogram masła w Holandji kosztuje 22.50 fr., to samo masło w Belgii sprzedają oni za 18,60 fr., dzięki owym premjom, które są bardzo wysokie i wynoszą po 1 florenie (3,60 zł.) za kilogram.

### SZAJKA PRZEMYTNICZA NA POGRANICZU AUSTRO-WĘGIERSKIM.

Austrjackie władze graniczne wpadły na śmiałej organizacji przemytniczej, w którą zamieszanych jest około 2.000 osób. Szajka ta doskonale zakonspirowana działała od wielu miesięcy wzdłuż granicy austro-węgierskiej, przemycając wagony pszenicy z Węgier do Austrii. Stwierdzono, że od jesieni ub. r. przemycono do Austrii około 2.500 wagonów pszenicy, z czego powstała dla skarbu państwa szkoda w kwocie przeszło 6 milionów szylingów. W związku z aferą aresztowano przeszło 700 osób.

### KOSZTOWNE KLEJNOTY PRZEMYCANE W LASCE.

Włoskie organa celne wykryły wyrafinowany przemyt klejnotów na granicy włosko-szwajcarskiej koło Ponte Chiasso. Oto pewien handlarz z Medjolanu miał ukryte w lasce gumowej drogocenne kamienie, przedstawiające wartość pół miliona lirów, przemycone przez granicę.

Skarb ten władze celne skonfiskowały, a handlarza aresztowały.

Podczas rewizji, przeprowadzonej następnie w domu medjolańskiego handlarza, znaleziono dalszy zapas drogich kamieni, które prawdopodobnie zostały również przemycone przez granicę Włoch. Przemycnika klejnotów skazano na zapłacenie kary w kwocie wieluset tysięcy lirów.

### SZMUGIEL W ZŁAMANEJ NODZE.

Promienie Roentgena zastosowano po raz pierwszy we Francji w roku 1900 dla wykrywania kontrabandy na granicy celnej. Ale ówczesne aparaty niezbyt udoskonalone, nie pozwoliły na osiągnięcie pożądaných rezultatów.

Obecnie system ten wprowadziła u siebie Holandia, głównie w celu wykrywania i zwalczania kontrabandy drogich kamieni przez granicę.

Wszystkie komory celne na granicy holenderskiej posiadają obecnie biura radijskopijne. Zbyteczną stała się teraz długa i uciążliwa procedura przeszukiwania bagażu, szperania po walizkach, kieszeniach pasażerów.

Każdego, kto przekracza granicę Holandji, prowadzi się do biura radijskopijnego, tu poddaje się go prześwietleniu, a niedyskretne promienie X ujawniają często zadziwiające fakty.

Statystyka tych biur dowodzi, że jeden na każdych dwóch pasażerów usiłuje przewieźć coś przez granicę, czego nie chce poddać ocleniu.

Na ekranie ukazują się z całą wyrazistością zarysy pochowanych przemysłnie zegarków, broszek, biżuterji. Przedmioty te są schowane w kieszonkach wewnętrznych, schowkach, wydrążonych w obcasach, ukryte we włosach etc. etc.

Zdarzyło się np., iż prześwietleniu poddano pasażera ze złamaną nogą, ujętą w opatrunek gipsowy. Któryż z celników odważyłby się naruszać taki opatrunek! Ale promienie X nie boją się żadnej przeszkody, omijają ją. Ukazały one oczom celników zupełnie zdrową kość, bynajmniej nie złamaną, a zato ujawniły schowane w gipsie trzy zegarki i bransoletkę!

Oczywiście sukcesy te może odnosić radijskopja tylko tam, gdzie chodzi o wykrycie kontrabandy normalnej, uprawianej na drodze „legalnej”.

Tam, gdzie kontrabandyści korzystają z t. zw. „zielonej” granicy dla przemykania narkotyków, tytoniu, jedwabiu, drogich kamieni, broni — tam promienie X nie mają nic do roboty, a przychodzą do głosu inne środki przeciwdziałania: wywiad, straż graniczna, podsłuch, psy policyjne, reflektory.

## Z kraju i ze świata

Pan Prezydent Rzeczypospolitej wyjeżdżał do Gdyni, a następnie do Spały, gdzie spędzał letnie wycieczki.

P. Marszałek Piłsudski bawi w Pikiliszkach na wypoczynku. W czasie swego tam pobytu przyjął p. Marszałek b. premiera Aleksandra Prystora, powracającego z wycieczki na Litwę kowieńską.

W ostatnich dniach czerwca zaszły następujące zmiany w Rządzie:

Tekę Ministra Spraw Wewn. objął M. Kościałkowski, a Ministra Rolnictwa p. J. Poniatowski.

Prezes klubu parlamentarnego B. B. plk. Sławek rozmawiał ostatnio z p. Marszałkiem Piłsudskim na temat nowej Konstytucji.

Pan Marszałek wypowiedział swoje krytyczne uwagi dotyczące t. zw. Legjonu Zasłużonych, który według nowej Konstytucji ma wybierać 2/3 senatorów.

B. Minister Skarbu p. Matuszewski ma zostać ambasadorem polskim w Londynie.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wysłało do podległych mu władz rządowych i samorządowych pismo zalecające stosowanie ustawy, głoszącej, że kawalerowie orderu „Virtuti Militari” będą mieli pierwszeństwo przy obsadzaniu stanowisk w urzędach państwowych i samorządowych.

Minister Spraw Zagranicznych p. Beck wyjechał do Estonii z rewizytą ministra Seljamaa.

W czasie rewizyty ma być omówiona sprawa t. zw. Locarna wschodniego, projektowanego przez Francję, a do którego Polska i państwa Bałtyckie odnoszą się z pewną rezerwą.

Chodzi mianowicie o to, że projektowane Locarno wschodnie zawiera również sankcje wojskowe, z którymi połączony jest przemarsz wojsk obcych przez terytorja sąsiednich państw. Przeciw takiemu projektowi muszą wystąpić oprócz Polski również małe państwa bałtyckie.

Prezydentem Warszawy ma zostać b. wiceminister Skarbu p. Starzyński.

Kłęska powodzi, jaka dotknęła zachodnią Małopolskę, część Śląska i okolice Sandomierza i Opatowa wyrządziła straty, wynoszące według pobieżnych obliczeń przeszło 206 milionów złotych. Pociągnęła ona również ofiary szeregu żyć ludzkich.

W ratowaniu powodziarian wzięli osobisty udział p. premier Kozłowski i minister komunikacji p. Butkiewicz.

Całe społeczeństwo pozostałych dzielnic spieszy z pomocą dotkniętym kłęską powodzi.

Ogłoszono w Dz. Ustaw akt ratyfikacyjny paktu o nieagresji pomiędzy Związkiem sowieckimi, a Rzeczpospolitą Polską. Pakt o nieagresji obowiązuje państwa do 31 grudnia 1945 r.

Do Tyflisu przybyła wycieczka uczonych polskich pod przewodnictwem profesora Sukiennickiego z uniwersytetu wileńskiego.

Uczni polscy zaznajomili się z ustrojem konstytucyjnym republik transkaukaskich, stanem nauczania, prawodawstwa itd.

Kontrtorpedowce „Burza” i „Wicher” złożą w ciągu b. m. oficjalną wizytę w Leningradzie. W ciągu tego czasu uda się kontradmirał Unrug z odpowiednią delegacją do Moskwy, gdzie będzie przyjęty przez zwierzchnie władze wojskowe sowieckie.

Biskup polowy ks. Gawlina dokonał wizytacji kaplic i strażnic K. O. P.

W Krakowie odbyło się otwarcie sesji międzynarodowego komitetu transportowego przy udziale delegatów Austrii, Luksemburga, Niemiec, Rumunii, Szwecji, Szwajcarii, Węgier, Jugosławii i Saary.

Równocześnie rozpoczęła się konferencja w sprawie zagranicznej komunikacji towarowej z Niemiec, Litwy, Łotwy i Estonii tranzytem przez Polskę, Prusy Wschodnie i Litwę.

Delegat Litwy Masilunas wygłosił serdeczne przemówienie powitalne.

Inż. Biernacki, biorący udział w polskiej wyprawie polarnej na Spitzbergen pod biegunem północnym nadesłał pierwszy komunikat co do prowadzonych przez wyprawę prac kartograficznych i geologicznych.

Zarządzenie Min. Komunikacji i bezpłatnym przewożeniem dzieci pociągami osobowymi w czasie do 22 lipca b. r. okazało się trafne w swych skutkach.

W zaledwie czterech pierwszych dni przewieziono około 70.000 dzieci.

Departament Podatków i Opłat Skarbowych Min. Skarbu opracowuje szereg rozporządzeń wykonawczych do nowej ordynacji podatkowej.

Jedną z przewidzianych inowacji przewiduje wprowadzenie zeznań o obrotach handlowych i dochodach przed sądami. Zeznania te będą mogły być popierane dowodami, oraz zeznaniami świadków.

Polskie Towarzystwo Eugeniczne opracowało projekt ustawy wprowadzający obowiązek badań lekarskich osób, zamierzających wstąpić w związek małżeński.

Według tego projektu urzędnicy stanu cywilnego mieliby obowiązek wymagań od kandydatów do stanu małżeńskiego doręczenia świadectw lekarskich o stanie zdrowia.

Pomiędzy Gdynią, a portami indyjskimi otwarto linię okrętową, dla obrotu towarami wymagającymi urządzeń chłodniczych.

Wstąpienie Sowietów do Ligi Narodów ma nastąpić 10 września b. r. na nadzwyczajnej sesji.

W Berlinie i całych Niemczech nastąpiła krwawa rozgrywka pomiędzy Hitlerem i Göringiem, a opozycjonistami w partii hitlerowskiej kpt. Roehmem i innymi.

Hitler rozprawił się krótko z rywalami, wydając na nich wyrok śmierci.

Stracono kilkudziesięciu dawnych przyjaciół Hitlera.

W Niemczech może zostać urzędnikiem tylko aryjczyk.  
Pochodzenie to musi być udowodnione metrykami.

Pasażerski samolot niemiecki, kursujący pomiędzy Szczecinem a Gdańskiem wylądował przymusowo na Helu. Przyczyną lądowania był brak benzyny.

Na przedmieściu Moskwy buduje się obecnie olbrzymi stadion sportowy, obliczony na 150.000 miejsc siedzących.

Przy stadionie znajdują się: pływalnia, korty tenisowe, tor kolarski i inne.

Koszt budowy urządzeń jest obliczony na 150 milj. rubli.

W Ameryce podnoszono zarzuty przeciw Anglii, która ma rzekomo popierać Japonię oraz jej agresję na kontynencie azjatyckim.

Według japońskiego planu kolonizacyjnego ma być osadzonych na Korei 300.000 kolonistów japońskich. Koloniści mają wzmocnić stanowisko Japonii w Mandżurji.

W Berlinie panuje katastrofalny stan bezrobocia.  
Co dziesiąty mieszkaniec Berlina jest bezrobotnym.

Dwaj bracia Adamowiczowie, którzy po raz drugi postanowili przelecieć ocean atlantycki dokonali swego zamierzenia.

Lot ich nad oceanem odbył się pomyślnie.

Przybyłych do Warszawy bohaterów przestworzy witano entuzjastycznie.

Byli oni również przyjęci przez Pana Prezydenta.

## Odpowiedzi Redakcji

(Redaguje nadkom. A. Wilk)

**E. P. 24.** Uskarża się Pan na rzekomo źle przemyślany Statut Kasy Emerytalnej. Chodzi Panu głównie o nieobjęcie względnie o nieprzyjęcie do Kasy tych szeregowych Straży Granicznej, którzy przeszli w stan spoczynku w czasie pomiędzy 1.XI.33, a 1.IV.34.

Musimy niestety odmówić słuszności Pańskich uwag.

Organizatorowie Kasy Emerytalnej zastanawiali się dość długo, nad postanowieniami poszczególnych paragrafów statutu. Wysłuchano uwag różnych głosów w tej sprawie poruszanych również w Czatach.

Musiano jednak liczyć się poważnie z wydatkami jakie pociąga za sobą każde rozszerzenie ram statutu, oraz w związku z tem z siłą płatniczą strażnika.

W końcu uchwalono niemożność rozciągania postanowień statutu na czas wsteczny już choćby ze względu na trudności w określeniu miesiąca, od którego miałyby one obowiązywać.

Możemy natomiast przyznać Panu słuszność, że Kasa Emerytalna powinna mieć fundusz zapasowy.

Pismo Pańskie odstępujemy Zarządowi Samopomocy celem wzięcia go do kompetentnego rozważenia.

**Str. K. H.** Pismo w sprawie zwrotu należnej od K. W. P. kwoty odstępujemy Zarządowi Kasy do bezpośredniego załatwienia.

**Upośledzony 250.** Sprawę żalu Pana do K. W. P. poruszamy w Zarządzie Kasy.

Trudno jest Redakcji pośredniczyć pomiędzy Panem, a Zarządem, gdyż stawiane przez Pana warunki ponownego wstąpienia do K. W. P. są zbyt rygorystyczne i niemożliwe do przyjęcia ze względu na powagę Zarządu Kasy.

**L. J.** Posiada Pan policzalnych lat służby do emerytury:

Za służbę w byłej armji niemieckiej od 7.VI.15 do 8.X.18, 3 lata, 2 miesiące i 1 dzień, w W. P. od 4.IV.19 do 23.II.21, 1 rok 10 miesięcy i 19 dni, oraz w Straży Granicznej od 19.VIII.21 do 31.VII.34, 12 lat, 11 miesięcy i 12 dni czyli razem 18 lat i 2 dni.

Do powyższego dolicza się:

Za wojnę 1 rok, 10 miesięcy i 19 dni, oraz z tytułu korzystniejszego liczenia służby w Straży Granicznej 3 lata, 3 miesiące i 10 dni.

Ogółem posiada Pan 23 lata, 2 miesiące i 1 dzień, czyli 64 proc. emerytury.

Służbę zaborczą policzyliśmy pod warunkiem, że w czasie przerwy był Pan chory, co może udowodnić świadkami. Powinien był Pan ponadto zgłosić swe prawa z tytułu służby zaborczej do dnia 31.XII.33 r.

W sprawie służby zaborczej niemieckiej piszemy osobno, artykuł, który radzimy przeczytać.

**Przod. W. N. 1)** Posiada Pan policzalnych lat służby do emerytury:

Za służbę w byłej armji niemieckiej od 6.III.16 do 24.XI.18, 2 lata, 8 miesięcy i 8 dni, w W. P. od 26.I.19 do 11.VIII.21, 2 lata, 6 miesięcy i 16 dni, oraz w Straży Granicznej od 26.III.22 do 30.VI.34, 12 lat, 3 miesiące i 4 dni, czyli razem 17 lat, 5 miesięcy i 28 dni.

Do powyższego dolicza się:

Za wojnę 2 lata, 1 miesiąc i 20 dni, oraz z tytułu korzystniejszego liczenia służby w Straży Granicznej 3 lata, 3 miesiące i 6 dni.

Ogółem posiada Pan 22 lata, 10 miesięcy i 24 dni, czyli 64% emerytury.

Ponieważ w czasie od 24.XI.18 do 26.I.19 brał Pan udział w akcji powstańczej w Wielkopolsce, przeto czas ten policzy się do emerytury w wymiarze podwójnym.

2) Szkoła Straży celnej w Wieluniu zalicza się do emerytury, o ile posiada Pan zaświadczenie o przyjęciu do służby.

**W. T.** Posiada Pan policzalnych lat służby do emerytury:

Za służbę w W. P. od 5.XI.18 do 15.II.22 3 lata, 3 miesiące i 10 dni, oraz w Straży Granicznej od 20.VI.22 do 28.XII.34 12 lat, 6 miesięcy i 8 dni, czyli razem 15 lat, 9 miesięcy i 18 dni

Do powyższego dolicza się:

Za wojnę 2 lata, 4 miesiące i 13 dni, oraz z tytułu korzystniejszego liczenia służby w Straży Granicznej 2 lata, 11 miesięcy i 6 dni.

Ogółem posiada Pan 21 lat, 1 miesiąc i 7 dni, czyli 58% emerytury.

**Stały Czytelnik W. B.** Posiada Pan policzalnych lat służby do emerytury:

Za służbę w byłej armji niemieckiej od 16.X.12 do 8.IX.14, 1 rok, 10 miesięcy i 23 dni, w W. P. od 20.V.18 do 29.XII.20 2 lata, 7 miesięcy i 9 dni, oraz w Straży Granicznej od 23.X.21 do 31.VII.34, 12 lat, 9 miesięcy i 8 dni czyli razem 17 lat, 3 miesiące i 10 dni.

Do powyższego dolicza się:

Za wojnę 2 lata, 9 miesięcy i 26 dni, oraz z tytułu korzystniejszego liczenia służby w Straży Granicznej 3 lata, 5 miesięcy i 15 dni.

Ogółem posiada Pan 23 lata, 5 miesięcy i 21 dni, czyli 64% emerytury.

O ile posiada Pan zaświadczenie o przyjęciu do służby, to policzy się jeszcze kurs w szkole Straży celnej w Wieluniu (2 miesiące) i wtedy byłoby 67% emerytury.

**St. P. Lipnica.** 1) Czy strażnik graniczny może przejść do służby w Policji Państwowej,

Może, o ile zgodzi się na to obecna władza przełożona, oraz władze policyjne. Trzeba wnieść podanie drogą służbową.

Ustalenie w Straży Granicznej nie daje podstawy do ustalenia w służbie w P. P. może być jednak uwzględnione.

Warunki przyjęcia do P. P. są podobne do żądanych przez władze Straży Granicznej. Szczegółowo poinformują Pana w P. P.

2) Czy członkowi Kasy Emerytalnej przysługuje prawo do odprawy jeżeli zwalnia się ze służby na własną prośbę?

Zarząd Samopomocy trzyma się ściśle postanowień statutu Kasy Emerytalnej, który mówi jasno kiedy i komu przysługuje odprawa. Statut, oraz Regulamin Kasy Emerytalnej znajdzie Pan na każdej placówce Straży Granicznej oraz w Czatach.

**M. G.** Czy może Pan powrócić do Straży Granicznej, w której służył 11 lat. Obecnie ma Pan 38 lat życia?

Możliwość powrotu byłaby, naszym zdaniem, jednak trudno nam przesądzać sprawę zgóry.

Czy jednak dobrze Pan zrobi przerzucając się ponownie do Straży w wieku 38 lat — pozostawiamy Panu do pomyślenia.

**Stały Czytelnik Czat Nr. 45.** Posiada Pan policzalnych lat służby do emerytury:

Za służbę w W. P. od 1.II.19 do 8.III.22 3 lata, 1 miesiąc i 7 dni, oraz w Straży Granicznej od 27.V.22 do 31.VII.34, 12 lat, 2 miesiące i 4 dni, czyli razem 15 lat, 3 miesiące i 11 dni.

Do powyższego dolicza się:

Za wojnę 2 lata, 1 miesiąc i 18 dni, oraz z tytułu korzystniejszego liczenia służby w Straży Granicznej 3 lata, 5 miesięcy i 3 dni.

Ogółem posiada Pan 20 lat, 10 miesięcy i 3 dni, czyli 58% emerytury.

Służby zaborczej po 10.I.19 nie policzyliśmy, gdyż zasadniczo jest ona liczona po 27.XII.18, a nie podał Pan powodu pozostawiania w Niemczech poza czas wykazany.

Przypuszczam, że zgłosił Pan prawa z tytułu służby zaborczej i w niedługim czasie nadejdzie miarodajne obliczenie.

**Nr. 1897.** Podał Pan zbyt ogólnikowo przebieg służby, jak również długość przerwy pomiędzy służbą zaborczą, a polską wskutek czego obliczenie jest niemożliwe.

Nie podał Pan wcale służby w Straży Granicznej.

Prosimy o ponowne opisanie przebiegu służby, oraz podanie daty wystąpienia ze służby zaborczej, miejscowość z której Pan pochodzi, a wtedy dopiero podamy obliczenie lat służby do emerytury.

## NOWE WYDAWNICTWA

### U PROGU ZBROJNEGO CZYNU.

Ukazała się w druku jednodniówka, wydana z okazji 25-lecia ruchu niepodległościowego „Zarzewie”. Obfity materiał historyczny, zebrany na szpaltach tej nadwyraz ciekawej i pięknej jednodniówki wprowadza czytelnika w czasy niezbyt odległe, a jednak zapomniane lub zgoła nieznane. Z żywym zainteresowaniem czyta się wspomnienia o polskich przygotowaniach do zbrojnego czynu gdzieś na stepach Brazylijskich. Hen, daleko poza granicami Polski nietylko myśl, ale i czyn sposobił przyszłe szeregi żołnierzy niepodległości. Praca w podziemiach, w konspiracji, w wiecznie wytężonej czujności we wszystkich trzech zaborach prowadzona, pozwoliła Komendantowi Piłsudskiemu już w pierwszych dniach Wielkiej Wojny poprowadzić szeregi polskich żołnierzy w bój o Wolną Polskę.

Przeglądając liczne fotografie zachowane z tamtych czasów, czytając krwią nabrzmiałe słowa poetów, z brawurą żołnierską pisane wspomnienia, ze wzruszeniem po przeczytaniu odkłada się tę Jednodniówkę, by znów do niej wrócić, jak do krynicy przezystej miłości Ojczyzny.

## HUMOR

### LOGIKA DZIECKA

— Czy to prawda, mamusiu, że kukułka znosi jajeczka w gniazdach innych ptaków?

— Tak, moje dziecko.

— Hm, to ona pewnie chce tym ptakom oszczędzić pracy.

### NA POCZCIE.

— Dlaczego pani, odbierając przed trzema dniami pieniądze podpisała się trzema krzyżykami?

— Bo wczoraj wyszłam zamaż więc musiałam zmienić nazwisko.

### W KSIĘGARNI NA PROWINCJI.

Kupujący do subiekta z zawiązaną twarzą: — A czy pan przypadkiem nie ma encyklopedji?

Subjekt (dotykając ręką twarzy): — O, niech pan będzie spokojny, to nie jest zaraźliwe.

### NARZECZONY.

Dziedziczka ofiarowała dziewczynie ze wsi 50 złotych na „wiano”, lecz zażądała, żeby jej przedstawiła narzeczonego.

Po kilku dniach dziewczyna przyprowadziła istotnie swego przyszłego męża, który jednak nie przypominał Apollina. Był bardzo niepozorny, mały, chudy, niemłody.

— Moja Kasiu! — rzecze dziedziczka — cóż to za mizeraka upatrzyłaś sobie za męża?

— Proszę łaski pani, czy można dostać coś lepszego za 50 złotych?

### KIEPSKIE CZASY.

— Co, o trzeciej nad ranem budzicie mnie ze snu, żeby żądać jałmużny?

— Niech mi pan wybaczy, ale czasy są tak ciężkie, że muszę pracować i na nocną szychtę.

### ŚWIEŻO UPIECZONY AUTOMOBILISTA.

— Kasiu, czy pan nie wrócił jeszcze z przejażdżki samochodem?

— Nie, proszę pani, ale już trzech policjantów pytało się o niego.

### REKORD.

Dwaj łódzcy fabrykanci pończoch spotykają się w teatrze.

— Sprowadziłem sobie nową maszynę z Anglii — powiada pierwszy. — U góry wyspuje się jedwabniki z Milanówka, a u dołu wylatują gotowe jedwabne pańczochy.

— Pan nie ma najnowszego modelu — powiada drugi. — Ja sprowadziłem maszynę, do której wyspuje się jedwabniki, a u dołu wylatują już protestowane weksle.

### LOGIKA DZIECI.

— Mamusiu, Janek znowu wziął największe ciastko.

— Zupełnie słusznie moje dziecko. On przecież jest o trzy lata starszy od ciebie.

— Właśnie dlatego powinien wziąć mniejszy kawałek, ponieważ już trzy lata dłużej odemnie zjadał ciastka.

### W KOMISARJACIE.

— Melduję, że skradziono mi dziś z mieszkania 53 przedmioty.

— Oho, aż tyle! A czy ma pan spis tych przedmiotów?

— Talja kart i jeden złoty.

\* \* \*

— Kiedyż wreszcie będzie gotów mój garnitur?

— Kiedy pan zapłaci rachunek za poprzedni.

— Ależ ja nie mogę tak długo czekać!

\* \* \*

— Jestem przekonany, że radio nigdy nie zastąpi gazety.

— Dlaczego?

— Czyż można przy pomocy radja podpalić ogień w piecu lub coś zapakować?

\* \* \*

— Czy też pan spotkał się w czasie swej podróży z ludożercami?

— Naturalnie, byłem już raz w ich jądłospisie.

### LEKKOMYSLNY LEKARZ

— Jaktó? i pan doktor dziś na polowaniu... A co tam poczną bez pana pacjenci?

— A niech ich djabli! Ja także chcę być raz człowiekiem!

\* \* \*

— Gdy pisałem testament, myślałem o tobie.

— To bardzo poczcwiwie ze strony wuja.

— Tak, myślałem: A to się Franek będzie wściekał, gdy się dowie, że go wydziedziczyłem.

\* \* \*

Zegarmistrz: — Przynosi mi pan tylko wahadło? a gdzie zegar?

Klient: — Zegar jest dobry, więc go zostawiłem w domu, tylko wahadło nie chce chodzić.

## DO NUMERU NINIEJSZEGO DOŁĄCZAMY ROZKAZY KOMENDY STRAŻY GRANICZNEJ Nr. 3/34 i 4/34

T R E Ś Ć: Nadkom. P. P. J. Misiewicz: Kierownictwo a wykonawstwo. — Komisarz J. Kowalski: Pogadanki o służbie granicznej. — St. przodownik Markowski: Moje wrażenia z bursy Małopolskiego Insp. Okręgowego. — Marja Curie-Skłodowska. — Henryk Gologórski: Józef Piłsudski a kontrabanda polityczna. — Stefan Górski: Cyganie. — H. Gologórski: Jan Karol Chodkiewicz i Hetman Stanisław Żółkiewski. — L. Merani: Djamenty. — M. G.: Pani z dwoma parasolami. — Antoni Wilk: Z doliny Białego do doliny Czarnej Czeremoszu. — Sprawy, które nas obchodzą. — Z kraju i ze świata. — Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Leszno 5, — Komenda Straży Granicznej.

Warunki prenumeraty: kwartalnie 4.50, miesięcznie 1.50 zł.

Adres dla korespondencji: Warszawa, Skrzynka poczt. Nr. 650.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 2.223.

Redaktor i Wydawca: FELIKS OLAS.

Drukarnia Artystyczna, Nowy Świat 47, tel. 635-80